



**TRISHA DAVID**

---



*Ten nieznośny  
rudzielec*

## *ROZDZIAŁ PIERWSZY*

W Australii czekał dziadek i farma, lecz w Ameryce żyło się znacznie bezpieczniej!

Tylko na ostatnim odcinku drogi Erin O'Connell musiała czterokrotnie wykonywać prawdziwe akrobacje. Raz omijała węża, dwa razy kangura i raz tłustego wombata, zabawnego zwierzaka, który przypomina wprawdzie z wyglądu małego niedźwiadka, lecz jest, podobnie jak kangur, rodowitym australijskim torbaczem.

Za piątym razem błyskawiczny manewr kierownicą już nie wystarczył.

Wziąwszy dość ostry zakręt, Erin O'Connell była zmuszona wcisnąć do oporu pedał hamulca i wzbijając w powietrze potężny tuman pyłu, gwałtownie zatrzymać swój rozpędzony wehikuł, czyli niewielką terenową furgonetkę z pokazną przyczepą na holu.

Przed sobą, na samym środku drogi, ujrzała bowiem... dwójkę dzieciaków w białych, marynarskich ubrankach.

Dzieci - z wyglądu mniej więcej sześciolatki, chłopiec w białych spodenkach, dziewczynka w białej spódnicy - szły z naprzeciwka, dźwigając wspólnie, każde za jeden uchwyt, ogromną podrózną torbę.

Na widok wyskakującego z za zakrętu i hamującego nagle z piskiem opon samochodu, ze stoickim spokojem zeszły na pobocze i kontynuowały wędrowkę.

Nie przerwały jej nawet wówczas, kiedy pobladła ze zdenerwowania Erin O'Connell wyskoczyła z szoferki i wykrzyknęła:

- Hej, wy! Nie pomyśleliście, że ktoś może na was najechać?

Żadnej odpowiedzi. Dwójka niezwykłych wędrowców szła dalej, taszcząc torbę i nie spoglądając w stronę Erin.

- Przystańcie na chwilę! Zaczekajcie! - zawołała.

Dzieci zatrzymały się i postawiły na ziemi torbę, nie wypuszczając jednak z rąk jej uchwytów.

- Dlaczego idziecie samym środkiem drogi i narażacie się na niebezpieczeństwo? - odezwała się Erin nadal zasadniczym, choć już nieco łagodniejszym tonem. - Kierowca jakiejś większej i szybszej ciężarówki mógłby nie zdążyć wyhamować! I co by wtedy z was zostało?

Brak odzewu, jeśli nie liczyć jednoczesnego, jak na komendę, melancholijnego spojrzenia dwu par tak samo błękitnych oczu. Dzieciaki były do siebie kropka w kropkę podobne.

- Jesteście bliźniakami? - spytała Erin, zmieniając temat na mniej drażliwy.

Równoczesne skiniecie dwu jednakowo jasnowłosych główek. I nadal uparte milczenie.

- Wiozę tam czarnego konia - poinformowała malców Erin, wskazując na przyczepę. - Muszę sprawdzić, czy nic mu się przypadkiem nie stało w czasie gwałtownego hamowania.

Podeszła do przyczepy, wspięła się na wystający z tyłu wąski podest i przez ażurowe w górnej części drzwi zajrzała do środka.

Jej czworonożny ulubieniec, kary, nie pierwszej młodości już koń, był wprawdzie lekko spłoszony, ale nic poza tym na szczęście mu nie dolegało.

Zerknęła na stojące nieruchomo na poboczu drogi dzieciaki.

- Chcecie go zobaczyć? - zapytała.

Melancholijne spojrzenie dwu par jasnoniebieskich oczu w stronę przyczepy. Potakujący skłon dwu płowych czupryn.

I cisza.

Erin otworzyła drzwi przyczepy i wsunęła się do środka. Pieszczotliwie, z prawdziwą czułością pogładziła konia po nosie i opuściwszy specjalną pochylnię, wyprowadziła go na drogę.

- Ma na imię Paddy - przedstawiła wierzchowca dzieciakom. - Bardzo często ze mną podróżuje.

- Czy nic mu się nie stało, proszę pani? - zapytała z powagą i troską w głosie dziewczynka.

- Nie uderzył się przy hamowaniu? - uzupełnił pytanie siostry chłopiec.

Usłyszawszy z ust dzieci pierwsze słowa, Erin uśmiechnęła się i odetchnęła z ulgą.

Nabrała nadziei, że uda jej się dowiedzieć, kim są mali wędrowcy, skąd idą, dokąd zmierzają i jak można im pomóc. Było bowiem rzeczą aż nadto oczywistą, że w jakiś sposób pomóc im trzeba i w żadnym wypadku nie wolno zostawić ich samych na drodze.

- Mój Paddy to bardzo mądry koń, więc wie, jak się zachować na szosie, żeby nie zrobić sobie krzywdy - odezwała się Erin mentorskim z lekką tonem. - Nie jest taki bezmyślny, jak niektóre dzieciaki!

Dwie dziecięce buzie zaczerwieniły się ze wstydu dokładnie w tym samym momencie.

- My... przepraszamy... - wykrztusiła dziewczynka.

- My nie chcieliśmy... - dodał chłopiec.

- Rozumiem, w porządku - pojednawczym tonem odezwała się Erin. - Paddy też chyba nie ma pretensji. Jestem Erin O'Connell - przedstawiła się. - Mój dziadek ma farmę niedaleko stąd, właśnie jedziemy tam z Paddym z wizytą. A wy dokąd się wybieracie?

Cisza.

- Może was podwieźć? Milczenie.

- Mieszkacie tu gdzieś w pobliżu? Brak odpowiedzi.

- Nie umiecie mówić? - zniecierpliwiła się Erin.

- Umiemy! - odezwały się równocześnie wyraźnie oburzone posądzeniem o niemotę dzieciaki.

- Więc w takim razie powiedzcie mi chociaż, jak się nazywacie!

- Ja jestem Laura McTavish - przedstawiła się dziewczynka.
- A ja jestem Matthew McTavish - uzupełnił prezentację chłopiec.

Laura i Matthew McTavish... Erin O'Connell doskonale przecież знаła to nazwisko!

Kiedy poprzednim razem - równo dziesięć lat temu

- była w odwiedzinach u dziadka jako czternastoletnia podfruwajka, dwudziestoletni wówczas przystojniak z sąsiedztwa, Mike McTavish, poprosił ją do tańca na zorganizowanym z jakiejś okazji wieczorku. Potem szarmancko podziękował i poszedł tańczyć z innymi, doroślejszymi dziewczynami.

A ona?

Cóż, ona zakochała się w nim bez pamięci głupią, pensjonarską miłością, z której, mimo upływu lat, nigdy nie zdołała się do końca wyleczyć. Niestety!

- Czy Mike McTavish to wasz tata? - zapytała.
- Nie, proszę pani - odpowiedziała Laura.
- Mike McTavish to nasz wujek - wyjaśnił precyzyjnie Matthew.
- Idziecie do niego z tą ciężką torbą? To chyba w przeciwną stronę.
- Ale my wcale nie idziemy do wujka, proszę pani - zaprzeczyła Laura.
- My już u niego byliśmy - dodał jej brat.
- Więc dokąd się teraz wybieracie?
- Do Sydney - zabrzmiała równoczesna, dwugłosowa odpowiedź.
- Do Sydney? - zdumiała się Erin. - Sami? Na piechotę? Przecież

będziecie szli miesiąc albo i dłużej!

- Trudno - stwierdziła z rezygnacją Laura i wzruszyła ramionami.
- My musimy, proszę pani! - dodał Matthew. - Idziemy do domu.
- Do mamy i taty? - spytała Erin.

W dwu parach błękitnych dziecięcych oczu zakręciły się łezki.

- My nie mamy... Nasza mama i nasz tata nie żyją - szepnęła Laura.
- Zginęli oboje w wypadku samochodowym - wyjaśnił Matthew.
- Mieliliśmy mieszkać z wujkiem.

- Ale nie podobało nam się u niego.
- Więc wracamy do Sydney.
- Do domu.
- Kocham, to w waszym domu, w Sydney, nikt w tej chwili nie mieszka? -

spytała Erin, chcąc dokładniej zbadać sytuację.

- Ktoś mieszka - stwierdziła Laura.
- Wujek nam mówił, że jacyś nowi lokatorzy - dodał Matthew.
- Wujek nam mówił, że oni kupili ten dom i on teraz jest ich.
- Ale on przecież jest nasz!
- My tam mamy swój pokój!
- Tatuś sam go nam pomalował na żółto!
- No, więc jak tam wrócimy...
- I jak będziemy grzeczni...
- To oni...
- Ci nowi lokatorzy.
- Chyba pozwolą nam zostać, prawda, proszę pani? Erin poczuła, że nagle

wilgotnieją jej oczy. Przez zaciśnięte gardło wykrztusiła:

- Nie sędzę.

Po czym, starając się dobierać słowa tak, aby jej wyjaśnienie było zrozumiałe dla dzieci, zaczęła tłumaczyć zawiedzionym bliźniakom:

- Widzicie, kochani, jesteście w tej chwili pod prawną opieką wujka.

Więc gdybyście nawet dotarli do Sydney, ci nowi mieszkańcy waszego domu musieliby was z powrotem do niego odesłać.

- Czemu z powrotem? - zdziwiła się Laura.
- Bo tego wymaga prawo.
- A jakby nas nie odesłali, to co? - zainteresował się Matthew.
- Z pewnością zostaliby ukarani.
- Przez kogo?
- Przez sąd.

- Więzieniem?

- Nnno... chyba tak - odpowiedziała po kilkusekundowym namyśle Erin. Matthew ciężko westchnął.

- W takim razie, pewnie odesłaliby nas do wujka, żeby nie iść do więzienia.

- Na pewno, moi kochani! Ale czy u wujka Mike'a na farmie rzeczywiście jest wam aż tak źle? - zapytała z lekkim powątpiewaniem Erin.

- Jest nam bardzo źle, proszę pani - potwierdziła Laura. - Wujek Mike nas bije, nie daje nam jeść i każe nam ciężko pracować!

- A wczoraj wieczorem zrobił coś jeszcze gorszego! - dodał Matthew.

- Zrobił coś jeszcze gorszego? - powtórzyła tyleż zbulwersowana, co zdezorientowana Erin. - Ale co?

- Obciął Laurze włosy.

Spojrzała na istotnie krótką, niemniej jednak bardzo zgrabną i twarzową fryzurkę dziewczynki, absolutnie nie wyglądającą na dzieło szaleńca czy sadysty.

- Sam obciął? - zapytała.

- Nie sam, wspólnie z ciocią Caroline - odpowiedział młodec.

- Właściwie, to ciocia obcięła mi włosy, proszę pani - uściśliła Laura. - Ale wujek jej na to pozwolił - dodała oskarżycielskim tonem.

Erin skinęła głową na znak, że wszystko rozumie, chociaż w istocie nie rozumiała niemal niczego.

Podejrzewała dzieciaki o fantazjowanie na temat przewinień Mike'a McTavisha. Sądząc z wyglądu, nie były bowiem ani pobite, ani zagłodzone, ani wyczerpane pracą. Równocześnie jednak zdawała sobie sprawę, że ucieczka malców z domu wujka musiała mieć jakąś realną przyczynę, ważną dla nich, choć być może mało istotną dla dorosłych. To znaczy dla Mike'a i dla tej jakiegś tam Caroline.

- Ciocia Caroline jest żoną wujka Mike'a, tak? - zapytała, z góry pewna twierdzącej odpowiedzi.

- Nie, proszę pani - zaprzeczyła Laura.

- Nie? - zdziwiła się Erin. - Więc kto to taki? Fryzjerka?

Dzieciaki, z właściwą wszystkim kilkulatkom łatwością natychmiastowego przechodzenia od smutku do wesołości i z powrotem, Wybuchnęły głośnym śmiechem.

- Fryzjerka! Ha, ha, ha! Fryzjerka Caroline! - chichotała Laura.

- Ciocia-fryzjerka, ciocia-fryzjerka! - wtórował jej Matthew.

- No więc, kto to jest, w takim razie? - zapytała Erin, odczekawszy, aż dzieci się trochę wyśmieją.

- Sympatia, proszę pani - wyjaśniła Laura konfidencjonalnym tonem osoby świetnie poinformowanej.

- To znaczy, narzeczona - dodał gwoli dokładniejszego wyjaśnienia Matthew. - Ona chce wyjść za naszego wujka Mike'a za mąż!

- A wujek? Zamierza się z nią ożenić? - sondowała Erin, trochę zła na samą siebie, że niepotrzebnie odbiega w rozmowie od głównego problemu, jakim był los dzieci w domu Mike'a McTavisha.

- Pewnie tak... - mruknął Matthew.

- Ale my byśmy woleli, żeby nie - uzupełniła Laura.

- Dlaczego?

- Bo ciocia Caroline jest niedobra. Obcięła mi włosy.

- A nasza mamusia zawsze mówiła, że włosy Laury są takie ładne, że szkoda je obcinać - dodał Matthew. - I codziennie wieczorem długo Laurę rozczesywała, i wtedy opowiadała nam bajki.

Na wspomnienie zmarłej tragicznie matki, rozbawione jeszcze przed chwilą dzieciaki natychmiast posmutniały, pospuszczały główki i zaczęły pociągać noskami.

Erin O'Connell objęła je ramionami i mocno do siebie przytuliła.



Jej również chciało się płakać, jednak najwyższym wysiłkiem woli jakoś się powstrzymała od łez. Po trosze domyślała się już, że Laurze i Matthew brakuje w domu wujka nie tyle jedzenia, ile wieczornych bajek, a także mnóstwa innych przyjemności i czułości, jakimi na co dzień obdarzali ich rodzice. Że czują się zagubieni w nowym dla siebie otoczeniu, gdzie najprawdopodobniej nikt ich nie bije ani nie zmusza do pracy na farmie, gdzie jednak opiekunowie traktują ich nieco bardziej zasadniczo niż mama i tata w Sydney.

Opiekunowie, to znaczy przystojny trzydziestoletni farmer Mike McTavish i owa Caroline, jego narzeczona.

Ale przecież jeszcze nie żona! - pomyślała przekornie Erin i błyskawicznie postanowiła: po pierwsze, pomóc jakoś bliźniakom, po drugie, przypomnieć Mike'owi o swoim istnieniu, a po trzecie...

- A po trzecie, dobrze wiecie... - wyrecytowała półgłosem fragment popularnej, zabawnej rymowanki, próbując odwrócić uwagę dzieciaków od najsmutniejszych w ich kilkuletnim życiu spraw.

- Że po czwarte, nic nie warte... - wychlipała Laura i przetarła piąstkami oczy.

- A po piąte przez dziesiąte, powracamy na początek - dodał Matthew i otarł nosek rękawem białej marynarskiej bluzy.

- I po pierwsze, to są wiersze.

- Lecz po drugie, ciut za długie.

- I po trzecie dobrze wiecie...

- ...że sami po świecie wędrować nie możecie! - zakończyła recytację Erin, dodając wierszykowi nowy finał.

- To co my mamy teraz zrobić, proszę pani? - zafrasowała się Laura.

- Musicie wrócić do wujka, na farmę.

- Sami?

- Nie. Ja was tam odprowadzę, razem z Paddym. Powiemy wujkowi, że włosy Laury są zbyt ładne, żeby je znów w przyszłości obcinać... bez pytania!

- Nie powiemy - stwierdził z powagą Matthew i w zamyśleniu pokręcił głową.

- Dlaczego? - zapytała Erin.

- Bo tam, na farmie, będzie ciocia Caroline.

- Ech, nie ma problemu! - Erin lekceważąco machnęła ręką. - Poradzimy sobie z nią. Paddy też ma ciotkę, która kiedyś, bez pytania, chciała obciąć mu grzywę. I jakoś sobie z nią poradził.

- A jak? - zaciekawiała się Laura.

- Wsypał jej pieprzu do siana, żeby zaczęła kichać. Jak kichała, to nie mogła go strzyc - improwizowała na oczekaniu Erin.

- I co? - spytał Matthew.

- Przecież widzisz, że ma grzywę na swoim miejscu, taką jak trzeba!

Dwie pary błękitnych dziecięcych oczu skierowały się w stronę Paddy'ego.

- Prawda, ma grzywę - mruknął Matthew.

- Poradził sobie z ciotką - dodała Laura. - To my też sobie z naszą jakoś poradzimy!

- Nasypimy jej pieprzu? - W oczach Matthew błysnęły figlarne iskierki, gdy stawiał to pytanie.

- No, raczej nie - odparła Erin, obawiając się, by fantazja nie zaprowadziła po raz wtóry dzieciaków zbyt daleko.

- A dlaczego?

- Bo wasza ciocia Caroline pewnie nie jada siana! - palnęła.

Matthew zaczął się głośno śmiać, a Laura niemal natychmiast mu zawtórowała.

- No, moi kochani! Wprowadzamy Paddy'ego z powrotem do przyczepy, wsiadamy wszyscy do samochodu i jedziemy do wujka - zarządziła Erin, kiedy

dzieciaki już się uspokoiły i przestały chichotać. - Odwiozę was i pomogę wam wyjaśnić wujkowi to i owo. A jutro znów was odwiedzę. I może pojutrze, kto wie?

## ***ROZDZIAŁ DRUGI***

- Głowy do góry, na pewno będziemy się często widywać! - powiedziała z uśmiechem Erin, widząc, że dzieci podczas jazdy znów podejrzenie spoważniały. - Przecież farma waszego wujka sąsiaduje z farmą mojego dziadka.

- A czy ten pani dziadek jest prawdziwy? - zapytała Laura.

- Jak to, czy prawdziwy? Najprawdziwszy! Skąd ci przyszło do głowy takie dziwne pytanie?

- Myślałam, że tylko dzieci mają prawdziwych dziadków - wyjaśniła rezolutnie dziewczynka.

- Ciekawe! - mruknęła Erin, szczerze zdziwiona specyficzną logiką dziecięcego myślenia. - Widzicie, moi kochani - zaczęła wyjaśniać bliźniakom - ja mam do tej pory tego samego dziadka, którego miałam, kiedy jeszcze byłam małą dziewczynką. Miałam dziadka wtedy i mam go do tej pory, ciągle tego samego.

- Naprawdę?

- Słowo honoru!

- W takim razie ten pani dziadek musi już być niesamowicie stary! - włączył się do rozmowy milczący dotąd Matthew.

- Cóż, młody nie jest... - westchnęła melancholijnie Erin. - Nie jest już młody i dlatego bardzo potrzebuje mojej pomocy. Jadę do dziadka, bo jestem mu potrzebna! - podsumowała.

- A my to chyba nikomu nie jesteśmy potrzebni, proszę pani - odezwała się na to Laura spokojnym, lecz przeraźliwie smutnym tonem osoby przedwcześnie dojrzałej i całkowicie pozbawionej złudzeń.

- Nieprawda! - energicznie zaprzeczyła Erin.

- A właśnie, że prawda! - twardo obstawała przy swoim dziewczynka. - Komu możemy być potrzebni, jak nie mamy już mamy i taty?

- No, może na przykład wujkowi... - podsunęła Erin, trochę bez przekonania.

- Wujkowi to na pewno nie! - zaprzeczyła stanowczo Laura. - Wujek ma przez nas tylko kłopot, musi się ożenić z ciocią Caroline. Tak nam powiedział.

- Że ma kłopot?

- Nie. Że musi się ożenić, bo sam, w pojedynkę, nie da rady się nami zaopiekować.

- Tacy jesteście absorbujący?

- Abso... Jacy?

- Nnno... - Erin zaczęła szukać w myślach jakiegoś innego, zrozumiałego dla dzieci słowa. - Niech będzie, że niegrzeczni.

- Niegrzeczni? - powtórzyła Laura i zaczęła się poważnie zastanawiać. - Mhm... Czasem jesteśmy niegrzeczni, tak troszeczkę. Ale jest nas dwoje, Matthew i ja... i ta nasza niegrzeczność się podwaja... i wtedy trudno z nami wytrzymać. Rozumie pani?

- Rozumiem, rozumiem - ze śmiechem potwierdziła Erin. - A gdybyście tak robili się troszeczkę niegrzeczni wyłącznie na zmianę? - podsunęła dzieckom kompromisowe wyjście z sytuacji.

- Tak pewnie byłoby najlepiej, ale to się nie da - mruknął zafrasowany Matthew. - My z Laurą zawsze robimy to samo w tym samym czasie, proszę pani. Przecież jesteśmy bliźniakami!

- Nie da się ukryć - przytaknęła Erin i skierowała samochód w boczną, dojazdową drogę, która prowadziła już prosto na farmę Mike'a McTavisha.

McTavishowie byli starym rodem, wywodzącym się od tak zwanych *squatterów*, czyli tych brytyjskich kolonistów, którzy przybyli do Australii najwcześniej, w związku z czym otrzymali pod uprawę najżyźniejsze ziemie i uzyskali największe przywileje. Byli więc rodem od pokoleń wielce szanowanym i bardzo zamożnym.

Mike McTavish miał największą posiadłość i najpiękniejszy dom w całej okolicy. Cieszył się również sławą najprzystojniejszego w całej okolicy młodzieńca. W związku z tym mogło się wydawać rzeczą co najmniej dziwną, że dotrwał aż do trzydziestki w kawalerskim stanie.

Na kogo właściwie on czekał tyle czasu? Czyżby na tę wiedźmę Caroline? - zastanawiała się Erin, parkując swój wehikuł z przyczepą na wprost głównego wejścia do stylowej, dwupiętrowej rezydencji Mike'a McTavisha, z wyglądu przypominającej raczej ziemiański pałacyk niż zwyczajne farmerskie domostwo. Główne wejście do rezydencji poprzedzał efektowny architektonicznie ganek.

Ledwie Erin O'Connell wyskoczyła z szoferki i pomogła wysiąść z niej dzieciom, drzwi domu otworzyły się gwałtownie na oścież.

Ukazała się w nich młoda, dość atrakcyjna kobieta, ubrana w markowe džinsy i koszulową bluzkę z jedwabiu, starannie ufryzowana i perfekcyjnie umalowana. Sądząc z gniewnej miny i wyniosłej postawy - osoba z natury raczej oschła i rygorystyczna, a przy tym niesamowicie pewna siebie i własnych racji.

Czyli - wypisz wymaluj - ciocia Caroline, o której apodyktycznym charakterze i dyktatorskich rządach w domu wujka Mike'a z takim niesmakiem opowiadały bliźniaki, Laura i Matthew.

Kobieta zbiegła po dość szerokich schodach z ganku ocienionego ozdobnym, wspartym na kolumnach daszkiem.

Gdy już była na dziedzińcu, całkowicie ignorując obecność Erin, zaczęła podniesionym głosem strofować bliźnięta:

- Laura! Matt! Wy niegrzeczne dzieciaki! Gdzieście byli do tej pory? Wujek was szuka od samego rana, właśnie mieliśmy zawiadomić policję, że was nie ma! Jak mogliście narobić nam tyle kłopotu? Wujek będzie się na was bardzo gniewał, zobaczycie!

Laura i Matthew - wyraźnie speszeni ostrą reprymendą - instynktownie ukryli się za plecami Erin, która odezwała się spokojnym, choć dobitnym tonem:

- Dzień dobry. Nazywam się Erin O'Connell. A pani jest z pewnością ciocią Caroline, nieprawdaż?

Spojrzenie, jakim dama w markowych dżinsach i jedwabnej bluzce obrzuciła ubraną na podróż w sfatygowane bermudy i powyciągany podkoszulek właścicielkę starej furgonetki, świadczyło o bezgranicznej pogardzie.

- Przywiozłam dzieci - dodała Erin. Usłyszała na to:

- Zapewne czegoś pani chce za fatygę, czy tak?

Z trudem opanowując się, by nie wpaść w szewską pasję i nie obrzucić aroganckiej rozmówczynie obelgami, Erin stwierdziła:

- Nie, proszę pani. Niczego od pani nie chcę. Chcę tylko porozmawiać z wujkiem Laury i Matthew.

- Wystarczy, że rozmawia pani ze mną - powiedziała Caroline. - Jestem przecież ich ciocią.

- Jeszcze nie, proszę pani, o ile mi wiadomo! - wycedziła z niezbyt starannie maskowaną satysfakcją w głosie zirytowana Erin.

Caroline wzięła głęboki oddech, zapewne po to, by wyprosić intruzkę z terenu posiadłości McTavishów, który najwyraźniej uważała już za własny.

Nim zdążyła jednak cokolwiek powiedzieć, rozległo się głośne poszczekiwanie i na dziedziniec wpadły zza narożnika domu dwa piękne owczarki collie.

Za nimi pojawił się mężczyzna.

Przystojny, jak przed dziesięciu laty, a nawet jeszcze przystojniejszy.

Postawniejszy niż wtedy i po dziesięciu latach pracy na farmie bardziej muskularny, a na twarzy dojrzały, bardziej męski, bardziej interesujący.

Po prostu ideał!

Po prostu Mike McTavish!!!

Erin poczuła, jak błyskawicznie budzą się w niej, i to ze zdwojoną siłą, wszystkie dawne emocje, pozostające od pewnego czasu w uśpieniu.

Poczuła też - ze zgrozą - drżenie nóg, zawrót głowy i ogień na policzkach. Tak samo jak wtedy, kiedy miała czternaście lat i dwudziestoletni przystojniak z sąsiedztwa poprosił ją do tańca!

Mike, ubrany w rozpiętą pod szyję koszulę w kolorze khaki, drelichowe spodnie i dość ciężkie robocze buty, szybkim, energicznym krokiem podszedł do Erin, po czym... minął ją i dopadł do ukrytych za jej plecami bliźniąt.

- Laura! Matt! - odezwał się schrypniętym nieco ze zdenerwowania głosem. - Czy nic wam nie jest? Nic wam się nie stało?

Dzieci milczały.

- Nic im nie dolega, proszę pana - odpowiedziała Erin. - Są tylko niesamowicie zmęczone. Wybrały się w podróż do Sydney. Z ciężkim bagażem, na piechotę! Na szczęście natknęłam się na nich i nakłoniłam do powrotu. Zgodziły się, ale musiałam im obiecać...

- Jestem pani ogromnie wdzięczny! - przerwał jej przystojny farmer. - Moje nazwisko McTavish. Mike McTavish - przedstawił się.

- Erin O'Connell. Wnuczka Jacka O'Connella, który ma farmę po sąsiedzku.

- To Laura i Matthew dotarli aż tam?

- Nie. Natknęłam się na nich jakieś trzy kilometry stąd. Szli samym środkiem drogi, prawdziwy cud, że nie wpadłam na nich furgonetką.

- Wielki Boże! - Mike McTavish złapał się za głowę. - Dziękuję pani, dziękuję pani za wszystko! Za odnalezienie dzieci. I za ostrożność za kierownicą. Serdecznie pani dziękuję, panno O'Connell!

- To nie wystarczy, panie McTavish - mruknęła Erin, pamiętając złożone wcześniej bliźniakom obietnice i doskonale zdając sobie sprawę, że oboje uważnie się teraz wsłuchują w każde jej słowo.

Mike zerknął na nią z ukosa.

- Należy się coś za fatygę? - zapytał.

- Nie, proszę pana, wcale nie o to mi chodzi! - stwierdziła dobitnie Erin, posyłając przy okazji niechętnie, przesycone ironią spojrzenie „cioci” Caroline. - Proszę mnie tylko uważnie wysłuchać.

- Słucham więc - rzucił krótko Mike.

- Jest pan najbliższym krewnym i równocześnie prawnym opiekunem Laury i Matta, prawda?

- Owszem. To dzieci mojego brata i bratowej, którzy zginęli w nieszczęśliwym wypadku.

- Te dzieci uciekły z pańskiego domu, zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Raczej wybrały się na wycieczkę.

- Na wycieczkę? Piechotą do Sydney?

- Dzieci miewają szalone pomysły, proszę pani.

- Zgadzam się, proszę pana. Ale nawet najbardziej zwariowany dziecięcy pomysł nigdy nie bierze się z niczego. Zawsze wynika z jakiejś konkretnej, ważnej dla dziecka przyczyny.

- Czasem również z kaprysu!

- Być może. Jednak Laura i Matt nie uciekli stąd dlatego, że są z natury kapryśni, proszę mi wierzyć.

- Tylko dlaczego?

- Dlatego, proszę pana, że są w tym domu po prostu nieszczęśliwi!



- Nieszczęśliwi? - zdziwił się Mike McTavish. - Przecież niczego im tutaj nie brakuje!

- Czegoś im jednak musi brakować, proszę pana, skoro zdecydowali się na ucieczkę! - stwierdziła z przekonaniem Erin.

- Czego, pani zdaniem?

- Moim zdaniem, po prostu szacunku. Poszanowania dla ich przyzwyczajzeń, wyniesionych z rodzinnego domu, dla ich dziecięcych sentymentów, upodobań, dążeń, pragnień, postanowień, decyzji...

- Może jakiś przykład?

- Proszę bardzo. Laura nie chciała przycinać wczoraj włosów, prawda?

- Nnno, tak... - potwierdził Mike McTavish, lekko skonfundowany.

- Ale mimo to włosy zostały przycięte, wbrew jej woli, zgadza się?

- Owszem.

- Dlaczego?

- Bo nikt tu na farmie nie ma czasu ich codziennie godzinami rozczesywać, proszę pani - mruknął zniecierpliwiony przedłużającymi się indagacjami Mike.

- To jest jakiś argument, oczywiście - zgodziła się Erin. - Należało go jednak Laurze przedstawić, proszę pana. A potem dać jej czas na przemyślenie i podjęcie decyzji. Natomiast pan zmusił ją do natychmiastowej rezygnacji z ulubionej fryzury. I z ulubionej fryzury jej zmarłych rodziców! W ten sposób dotkliwie ją pan uraził, zranił pan jej najgłębsze uczucia. Dziecku należą się z pańskiej strony przeprosiny i zapewnienie...

- No, tego to już za wiele! - syknęła przez zaciśnięte ze złości zęby Caroline, przerywając Erin. - Kto, u licha, dał pani prawo...

- A kto pani je dał? - palnęła bez zastanowienia Erin.

Caroline nie odpowiedziała na pytanie. Spojrzała tylko na Erin tak, jakby miała ochotę zasztyletować ją wzrokiem, po czym znieruchomiała w wyniosłym milczeniu.

Mike McTavish również milczał, popatrując trochę bezradnie to na dzieci, to znów na jedną lub na drugą z kobiet. Najwyraźniej był trochę zdezorientowany i mocno wszystkim, co zaszło, strapiiony.

No, ten to już ma dosyć! - doszła do wniosku Erin, spostrzegłszy jego zakłopotaną minę. Najwyższy czas rozładować atmosferę i ułatwić mu honorowe wyjście z sytuacji.

- Mam pomysł, dzieciaki! - zwróciła się do Laury i Matta. - Czy wiecie, jak szybko rosną włosy?

Oboje pokręcili przecząco głowami.

- No, to macie niepowtarzalną szansę, żeby się wreszcie dowiedzieć.

- A jak? - zainteresował się Matthew.

- Włosy Laury będą sobie spokojnie rosły, a ty, Matt, będziesz je codziennie... nie, lepiej co tydzień... mierzył krawieckim centymetrem i notował wynik - wyjaśniła Erin. - Znasz się na centymetrze? Umiesz już odczytywać i zapisywać cyferki?

- Pewnie, że tak! - odparł z dumą sześciolatek.

- Więc umowa stoi?

- Stoi.

- A ja? - odezwała się Laura.

- Ty natomiast będziesz musiała stać, i to spokojnie, kiedy Matthew będzie dokonywał pomiarów - stwierdziła z filuternym uśmiechem Erin.

- Ale co ja mam robić? Rezolutna dziewczynka nie pozwoliła zbyć się żartem.

- Ty będziesz codziennie ćwiczyć samodzielne rozczesywanie włosów, teraz krótkich, ale stopniowo coraz dłuższych. Jak już będą takie długie jak moje - tu Erin wskazała na własną, niezbyt starannie skomponowaną, kasztanoworudą fryzurę - to zaczniesz je sobie wiązać w taki sam koński ogon. Zgoda?

- A wujek się zgodzi?

- Hm... I co pan na to? - Erin zwróciła się bezpośrednio do Mike'a.

- Oczywiście, że się zgodzę - odpowiedział. - I ciocia również! - dodał pośpiesznie, nie tracąc czasu na konsultacje z milczącą posepnie narzeczoną.

Caroline skrzywiła twarz w cierpkim uśmiechu. Natomiast Laura uśmiechnęła się promiennie od ucha do ucha i stwierdziła z wyraźną ulgą:

- W takim razie sprawa załatwiona! Zostajemy tu, prawda, Matt?

- Jasne! - odparł zdecydowanie Matthew.

- Widzi pan? - odezwała się Erin do Mike'a. - Z dziećmi zawsze się można dogadać, wszystko można wynegocjować, byleby w odpowiedni sposób.

Dyplomatycznie, z poszanowaniem ich dziecięcej godności. Nic na siłę!

Skonfundowany Mike McTavish lekko odchrząknął.

- Jestem farmerem, proszę pani, a nie dyplomata czy pedagogiem. Proszę się nie dziwić, że brakuje mi wiedzy na ten temat - wyjaśnił.

- Przecież tu wiedza niepotrzebna, wystarczy odrobina wrażliwości i wyobraźni! - obruszyła się Erin.

Mike pokiwał w zamyśleniu głową.

- Cóż! - westchnął w końcu i wzruszył ramionami. -

Tak czy inaczej, panno O'Connell, najserdeczniej pani dziękuję za zainteresowanie się dziećmi tam, na drodze i przywiezienie ich, całych i zdrowych, tutaj, na farmę, do mojego domu.

- Miło mi. - Erin podała Mike'owi rękę, którą on mocno uściskał. - Nawiasem mówiąc - dodała po chwili - obiecałam uroczyście Laurze i Mattowi, że jeśli wrócą grzecznie do wujka, na farmę, to będę ich, jako najbliższa sąsiadka, często odwiedzać.

- Nie widzę przeszkód, proszę wpadać jak najczęściej, panno O'Connell. Zawsze będzie pani tu u nas miłym gościem, prawda, Caroline?

Cierpki uśmiech, jaki ponownie zagościł na perfekcyjnie umalowanym obliczu wciąż milczącej narzeczonej Mike'a McTavisha, mógł oznaczać właściwie wszystko. Został jednak - dla uniknięcia niepotrzebnych komplikacji - wzięty przez wszystkich obecnych za odpowiedź twierdzącą.

- Hura! - wykrzyknęli równocześnie, jak na komendę, Laura i Matt.  
- Proszę zajrzeć do dzieciaków choćby jutro - mruknął Mike.  
- Wpadnę z miłą chęcią! - zapewniła Erin, wskakując do szoferki swojego wehikułu. - Ale teraz już pędzę do mojego dziadka Jacka, bo pewnie nie może się mnie doczekać!

## ***ROZDZIAŁ TRZECI***

Dziadek Erin ze strony ojca, sędziwy, zbliżający się już do osiemdziesiątki Jack O'Connell, czekał na nią na werandzie swego domostwa.

Czekał cierpliwie, siedząc w ulubionym drewnianym fotelu na biegunach i popatrując na drogę.

Siedział w tym samym fotelu i popatrywał na tę samą drogę, którą kiedyś Erin, jako zakochana po uszy w przystojnym młodzieńcu z sąsiedztwa czternastoletnia podfruwajka, odjeżdżała z jego farmy, a którą teraz, po dziesięciu latach, jako dorosła już, dwudziestoczteroletnia kobieta - wracała.

Wracała z radością, chociaż zdawała sobie sprawę, że na australijskim odludziu będzie na pewno trochę tęsknić za rodzicami, domem i pełną życia, hałaśliwą Ameryką.

Niewielka, trochę zaniedbana, uboga w gruncie rzeczy farma dziadka była jednak dla niej miejscem szczególnym, miejscem, które przyciągało ją do siebie z niezwykłą, wprost magiczną mocą.

Dlaczego?

Cóż, tutaj przecież spędziła najwcześniejsze dzieciństwo, nim po ukończeniu piątego roku życia przeniosła się wraz z rodzicami do Stanów, skąd pochodziła jej matka, rodowita Amerykanka.

No i tu później, jako czternastolatka, przeżyła pierwsze sercowe porywy!

Przez wszystkie następne lata, mieszkając i dorastając w Stanach Zjednoczonych, w Pensylwanii, w ruchliwym, przemysłowym Pittsburghu, wciąż miała nieodparte wrażenie, że jakaś część jej serca została na stałe w dalekiej Australii, w stanie Wiktorii, na sennej i cichej australijskiej prowincji.

Wracała więc, żeby tę zagubioną część własnego serca odnaleźć. Może wśród wspomnień z dzieciństwa, na dziadkowej farmie? A może w sąsiedztwie? Kto wie...

Jack O'Connell czekał na wnuczkę na werandzie.

Na widok nadjeżdżającej drogą furgonetki z przyczepą zerwał się energicznie z fotela i z łącie młodzieńczą werwą zbiegł po schodkach na dół, na ogrodzony balustradą z drewnianych bali dziedziniec, który pełnił na jego farmie również rolę wybiegu dla koni.

Erin nacisnęła klakson i kilkakrotnym, donośnym sygnałem zaanonsowała z daleka swoje przybycie.

A kiedy minęła już szeroko otwartą bramę i zatrzymała furgonetkę tuż przed domem, natychmiast wyskoczyła z szoferki i rzuciła się w ramiona dziadka.

- Jak to dobrze, że jesteś, moja mała! Jak to dobrze... - powtarzał zdławionym lekko ze wzruszenia głosem starszy pan, ściskając ukochaną wnuczkę.

- Jak to dobrze być znowu tutaj, dziadku! Jak to dobrze być znowu razem z tobą... - powtarzała z kolei Erin, odwzajemniając uściski.

- No, Erin, dość czułości! Muszę ci się przecież w końcu przyjrzeć - oznajmił po pewnym czasie Jack O'Connell.

Uwolnił wnuczkę z objęć i odsunął ją od siebie na odległość wyprostowanych ramion.

- Wyglądasz prześlicznie, moja mała, trzeba ci to przyznać! - ocenił. - I jesteś kropka w kropkę podobna do matki!

Erin uśmiechnęła się promiennie, usłyszawszy pochwałę swojej urody.

- Ty też wspaniale wyglądasz, dziadku! - odezwała się radosnym tonem. -  
I jesteś kropka w kropkę podobny do... samego siebie!

- Nie postarzałem się?

- Nic a nic, słowo daję!

- Minęło równo dziesięć lat od naszego poprzedniego spotkania, moja  
mała - zauważył nieco melancholijnie Jack O'Connell. - Po tobie to jednak  
widać.

- Za to po tobie ani trochę nie widać! - stwierdziła dobitnie Erin,  
przyglądając się uważnie starszemu panu. - I dodała nieco ciszej: - Żeby  
nadrobić stracony czas, będziemy musieli sobie teraz wszystko o tych ostatnich  
latach dokładnie opowiedzieć, dziadku.

- To najlepiej zacznijmy od razu, żebyśmy zdążyli, zanim mi znowu stąd  
uciekiesz, moja mała... - mruknął trochę zgryźliwie Jack O'Connell.

- Zdążymy na pewno, dziadku, będziemy mieli mnóstwo czasu na snucie  
najdłuższych nawet opowieści. Ja nie zamierzam nigdzie stąd uciekać. Jestem  
już duża i planuję zostać tutaj na stałe - zdeklarowała się Erin z uroczystą  
powagą. - Więc lepiej od razu zacznij się do mnie przyzwyczajać! - zakończyła  
żartobliwym tonem.

Zanim Erin wypija trzecią filiżankę herbaty, a Jack zdążył wysączyć do  
dna pierwsze piwo, rozmowa zeszła ze spraw związanych bezpośrednio z  
życiem rodziny O'Connellów na nieco ogólniejsze tematy.

- A co ostatnio słyhać u twoich sąsiadów, dziadku? - zagadnęła wnuczka.

- Ech, niewielu mam ich tutaj, na tym pustkowiu, moja mała! - westchnął  
starszy pan. - Poza McTavishami...

- No właśnie! Co słyhać u McTavishów?

- Cóż, starsi państwo McTavishowie już oboje nie żyją, chociaż byli  
znacznie młodszy ode mnie. Z dwu ich synów jeden przeniósł się do miasta, do  
Sydney, tam się ożenił i tam zginął razem z żoną w jakimś strasznym wypadku  
samochodowym. A drugi gospodaruje samodzielnie na farmie. Mike, ten

przystojniak. Pamiętasz go jeszcze? Tańczyliście razem na wieczorku, gdy byłaś tu u mnie poprzednio w odwiedzinach. Coś mi się zdaje, że on wtedy nawet trochę zawrócił ci w głowie, moja mała, prawda?

Erin zarumieniła się lekko.

Maskując zmieszanie uśmiechem i niefrasobliwym tonem, stwierdziła:

- Stare dzieje, dziadku. Było, minęło. Ale pamiętam Mike'a McTavisha.

Od razu go poznałam, kiedy go dzisiaj zobaczyłam.

- Spotkałaś Mike'a?

- Tak się złożyło.

- No i co?

- No i nic! - mruknęła Erin i wzruszyła ramionami. - Nie bardzo chyba kojarzył, kim w ogóle jestem. A zresztą, nie miał pewnie dzisiaj głowy do wspomnień, był zanadto zdenerwowany.

- Mike McTavish zdenerwowany? Niby dlaczego? - zainteresował się dziadek.

Erin opowiedziała mu pokrótce historię z Laurą i Mattem w rolach głównych.

Wysłuchawszy uważnie opowieści wnuczki, starszy pan pokręcił głową i głęboko westchnął.

- Biedne są te dzieciaki, chociaż pochodzą z takiej bogatej rodziny! - powiedział z zadumą. - W tym wieku już bez rodziców, u wujka. Ale to na pewno nie Mike im tak dokuczył, moja mała, jestem pewien. To ta jego wyfiokowana narzeczona, Caroline Podger!

- Co to właściwie za jedna, dziadku?

- Córka starego Podgera.

- A kto to?

- Bogaty farmer z okolicy. Nikt go nie lubi, bo to straszny zarozumialec. Nie szanuje ludzi, ma ich po prostu za nic, jak tylko są biedniejsi od niego. Ale Mike'owi McTavishowi od dawna nadskakuje, ze względu na majątek. Aż w

końcu córeczkę mu podesłał, z charakteru pewnie kropka w kropkę podobną do ojczulka! Zaręczyli się.

- Dawno?

- Trzy miesiące temu.

- Mike bardzo zakochany? - spytała Erin, usilnie, choć z nie najlepszym efektem, starając się nadać swojemu głosowi obojętny ton.

Jack O'Connell zerknął na wnuczkę z ukosa, na tyle podejrzliwie i znacząco, że aż się z zakłopotania po raz drugi zarumieniła.

- Nnno... przecież ja tylko tak pytam, z ciekawości - mruknęła.

- Ciekawość to podobno pierwszy stopień do piekła, moja mała! - zaczął się z nią droczyć dziadek.

- Nie wierzę!

- Tak mówisz?

- Nie inaczej!

- To ja ci z kolei powiem, moja mała, że nie wierzę, żeby Mike McTavish mógł się naprawdę zakochać w tej wyfiokowanej wydrze Caroline.

- To dlaczego się z nią zaręczył? - zdziwiła się Erin.

- Nie rozumiem!

- A co niby miał zrobić, moja mała? On kawaler, przyzwyczajony do swobody w życiu i do bałaganu w domu. A te biedne dzieciaki brata nagle zwały mu się na głowę! Bez kobiety ani rusz w takiej sytuacji. Więc ta Caroline mu wybitnie pasowała.

- Pasowała?

- No, przecież ten stary bufon Podger kształcił ją aż we Francji w prowadzeniu domu, gotowaniu, wydawaniu przyjęć i tak dalej. W takiej specjalnej szkole dla bogatych pań z całego świata!

- Naprawdę? - zdziwiła się Erin i wybuchnęła głośnym śmiechem.

- A co myślisz? - mruknął dziadek, również pod wąsem chichocząc. - Że wszystkie dziewczyny zajmują się tylko dżokejstwem, jak ty?



- O, przepraszam! - obruszyła się pół żartem, pół serio Erin. - Ja w Stanach nie tylko uprawiałam jeździectwo. Ukończyłam też kursy rolnicze.

- Ale zrozum, moja mała, że biednemu Mike'owi McTavishowi żaden rolnik nie jest do szczęścia potrzebny, tylko niańka do dzieci!

- Tylko niańka? - zdziwiła się Erin. - Mógł sobie jakąś wynająć!

- A niby gdzie? Tu, w naszych stronach, nie ma żadnych agencji opiekunek czy innych takich wielkomięjskich wynalazków. Mało tu ludzi, więc i mało kobiet. Niejaka Grace Brown z sąsiedztwa dojeżdżała z początku na farmę Mike'a dwa razy w tygodniu, żeby mu zrobić w domu trochę porządku i coś tam na zapas ugotować, ale zrezygnowała mimo przyzwoitej zapłaty za fatywę, bo ma własnego chłopca, własne dzieciaki i własną farmę na głowie. Mike dostał stracha, że sobie w pojedynkę nie poradzi i oświadczył się, biedaczysko, tej Caroline!

- Ze strachu?

- Tak wychodzi, chociaż w ogóle to raczej odważny z niego chłop. No, ale który chłop będzie miał dość odwagi, żeby niańczyć dwójkę pędraków? To przecież gorzej, moja mała, niż opiekować się starym dziadkiem, takim jak ja!

- Znacznie gorzej! - przyświadczyła z udawaną powagą Erin. - Opieka nad dziadkiem, takim jak ty, to w gruncie rzeczy przyjemność.

- Tak powiadasz?

- Nie inaczej.

- I naprawdę ze mną zostaniesz na stałe?

- Jeśli się tylko na to zgodzisz - powiedziała Erin, już całkowicie serio.

- A czy mam jakieś inne wyjście, moja mała? Już nie daję sobie rady w pojedynkę. Farma marnieje. A szkoda, bo to ładny kawałek ziemi. Pastwiska zielone, że aż się oczy do nich śmieją. Wody nie brakuje, jak w wielu innych rejonach Australii. Po prostu raj! - podsumował z emfazą sędziwy Jack O'Connell. Po czym dodał jeszcze, chcąc zamaskować wzruszenie: - Zwłaszcza dla trawożernych bydłek, moja mała. Zwłaszcza dla trawożernych.

Erin podniosła się z krzesła, podeszła do starszego pana, nachyliła się nad nim i pocałowała go w policzek.

- Nic się nie martw, dziadku - powiedziała łagodnym, krzepiącym tonem.

- Razem ze wszystkim sobie poradzimy! Z domem, z farmą...

- A nie znudzi cię przypadkiem takie życie na odludziu, moja mała?

- Na pewno nie - odpowiedziała z najgłębszym przekonaniem Erin. - Ja w Ameryce, dziadku, w wielkim mieście, w tłumie ludzi, zawsze czułam się jakoś nie tak. Dlatego myślę, że właśnie tutaj jest najlepsze dla mnie miejsce na świecie. W Australii, w pięknym stanie Wiktorii, na farmie mojego najukochańszego dziadusia!

- I w sąsiedztwie... - odezwał się z filuternym uśmiechem Jack O'Connell.

- O, przepraszam! Ja o sąsiedztwie nic nie mówiłam! - obruszyła się żartobliwie Erin i cmoknęła dziadka w policzek po raz drugi.

Erin przespała pierwszą noc na farmie mocnym, głębokim snem.

Rano obudziły ją chóralnym ćwierkaniem i poskrzekiwaniem buszujące wokół domu ptaki. Nim się na dobre ocknęła, szybko wyczołgała się z łóżka i szeroko otworzyła okno, by powitać nowy dzień.

I wtedy...

Do pokoju wsunęła swój okazały, rogaty łeb brązowo-biała krowa rasy Hereford.

- A kysz! - wykrzyknęła Erin ze śmiechem, zmuszając flegmatycznego zwierza do powolnego odwrotu.

Przypomniała sobie w tym momencie definitywnie, gdzie jest i po co tu przyjechała.

Będę hodować bydło, pomyślała. Będę pomagać dziadkowi w prowadzeniu gospodarstwa. I będę odwiedzać, od czasu do czasu, Laurę i Matta McTavishów na farmie ich przystojnego wujka Mike'a.

Nie tracąc niepotrzebnie czasu, Erin umyła się, ubrała i pobiegła do kuchni. Dziadek już nie spał, czekał na nią ze śniadaniem.

Zasiedli w dwójkę do stołu. Erin jadła z dużym apetytem, natomiast Jack O'Connell jedynie coś tam dla przyzwoitości skubał z talerza.

- Nie rozmyślałaś się przypadkiem przez noc, moja mała? - zapytał wnuczkę z wyraźną obawą pod koniec posiłku. - Nie uciekasz z powrotem do Ameryki?

- Nawet mi się o czymś takim nie śniło, dziadku! - odpowiedziała.

- W takim razie chodźmy obejrzyć gospodarstwo.

Gospodarstwo było mocno podupadłe. Niektóre budynki i urządzenia wymagały pilnego remontu. Kondycja zdrowotna bydła pozostawiała wiele do życzenia. Liczba cieląt w stadzie wydała się Erin katastrofalnie mała, a zapasy siana w dziadkowych stodołach - zbyt skromne.

- A co powiesz teraz? - odezwał się do wnuczki trochę niepewnie starszy pan, kiedy wracali już z oględzin obejścia do domu.

- Teraz to ci powiem, dziadku - stwierdziła Erin, akcentując dobitnie pierwsze słowo - że bez wątpienia potrzebujesz na farmie mojej pomocy. Ale razem poradzimy sobie jakoś z tym wszystkim, nie ma obawy! - dodała krzepiącym tonem.

Zjedli w kuchni obiad, oboje z apetytem.

Po obiedzie dziadek poszedł się zdrzemnąć do swojego pokoju, a Erin osiodłała Paddy'ego i wybrała się w odwiedzinę do bliźniaków.

Bliźniaki dyżurowały przy bramie.

- Czekamy tutaj od rana! - oznajmiła Laura, kiedy Erin podjechała już dostatecznie blisko.

- Przygotowaliśmy ciasto na placuszki! - poinformował nie bez dumy Matt. - Teraz wystarczy tylko je usmażyć, to zajmie najwyżej kwadrans. Poczeka pani kwadrans? - zapytał.

- Na świeże placuszki jestem gotowa czekać nawet godzinę - odpowiedziała z uśmiechem Erin.

- Zaraz będą, już biegniemy je smażyć! - wykrzyknął z entuzjazmem Matt.

- I przy okazji powiemy wujkowi, że pani już jest - dodała Laura.

- Cioci też? - zapytała Erin.

- Cioci dziś nie ma, pojechała do swojego domu.

- Rozumiem... - mruknęła Erin.

Pojechała i dzieciaki są od razu weselsze! - dodała już w myślach.

Laura i Matt popędzili do domu, a Erin zsiadła z konia i wprowadziła go przez bramę za ogrodzenie.

W tym momencie zjawił się Mike.

- Miło, że pani do nas wpadła, panno O'Connell! - odezwał się na powitanie.

- Obiecałam przecież dzieciakom... że przyjadę... panie McTavish - wykrztusiła Erin, czując ze zgrozą, że w obecności przystojnego mężczyzny głos więźnie jej w gardle, a na policzki występuje rumieniec.

- Proszę mówić mi Mike!

- Więc... proszę mi mówić... Erin!

- Z przyjemnością - odparł z uśmiechem farmer.

Po czym zapytał, zerkając z zainteresowaniem na Paddy'ego:

- Chcesz wypuścić swego pięknego wierzchowca na trawę? Za stodołami jest taki ogrodzony wybieg.

- Nie, nie! Uwiążę go tylko tutaj, przy ogrodzeniu. Nie przyjechałam na długo - wymówiła się Erin.

- Jak wolisz. Ale na placuszki chyba zaczekasz?

- Nnno... tak. Obiecałam przecież dzieciakom.

- Ano właśnie! W takim razie przejdźmy do domu. Tylko uwiąż porządnie konia, bo szkoda by było, gdyby się gdzieś zawieruszył. To bardzo piękne zwierzę! - stwierdził ze szczerym podziwem Mike.

- Emerytowany sportowiec, czempion - wyjaśniła Erin. - Kiedyś brał udział w wyścigach crossowych, w bardzo trudnym terenie, potem zdobywał nagrody w ujeżdżaniu.

- A kto na nim wtedy jeździł?

- Ja!

- Naprawdę? Tu, w Australii?

- Nie. W Stanach.

- Więc jesteś Amerykanką, tak? Trochę to może słyhać po akcencie, ale właściwie nie za bardzo.

- Bo przecież jestem Amerykanką tylko po mamie - wyjaśniła Erin.

- A po ojcu?

- Australijką. Mój dziadek Jack, ojciec mojego taty, ma farmę niedaleko stąd!

- Prawda - zreflektował się Mike. - Przecież mówiłaś wczoraj, że jesteś wnuczką starego Jacka O'Connella.

- Właśnie!

- Ale chyba nie odwiedzałaś dziadka zbyt często ostatnimi czasy?

- To prawda - przyświadczyła z powagą Erin. - Ostatnio byłam tutaj okrągłe dziesięć lat temu, potem już jakoś nie udawało się przyjechać. Podróż z Ameryki do Australii sporo kosztuje, musisz wiedzieć!

- Wiem, wiem, domyślam się - przytaknął Mike, kiwając ze zrozumieniem głową. - Zwłaszcza, jeśli podróżuje się z koniem... - dodał żartobliwie. - Więc byłaś tu dziesięć lat temu, powiadasz?

- Owszem.

- A wiesz, ja cię chyba pamiętam. Taki rudy podlotek, prawdziwa Ania z Zielonego Wzgórza! Nawet tańczyliśmy ze sobą na jakimś wieczorku, prawda? To byłaś naprawdę ty? - zapytał podejrzliwie, zmierzyszy najpierw Erin wzrokiem od stóp aż po czubek głowy.

Nie była pewna, jak powinna przyjąć niedowierzanie przystojnego Mike'a McTavisha. Raczej z oburzeniem, że wtedy widział w niej tylko brzydkie kaczątko, czy raczej z satysfakcją, że teraz spogląda na nią zupełnie inaczej i najwyraźniej dostrzega w niej kogoś zupełnie innego?

Po chwili wahania wybrała tę drugą wersję.

- Oczywiście, że ja - odpowiedziała z lekko kokieteryjnym uśmiechem. - Pamiętam tamten wieczorek, pamiętam, jak poprosiłeś mnie do tańca.

- Twój dziadek mnie o to poprosił, żebyś nie podierała ściany.

- Domyślałam się. Ale i tak byłam bardzo zadowolona, muszę ci powiedzieć. Poczułam się przy tobie... hm... prawie dorosła.

- Naprawdę? - mruknął sceptycznie Mike McTavish. - A jak się czujesz przy mnie teraz? - zapytał.

- Doskonale! - odpowiedziała Erin. - Zwłaszcza że nie ma w pobliżu pewnej osoby...

- Daj spokój, dziewczyno! - przerwał jej Mike. - Jeśli Caroline potraktowała cię wczoraj trochę nieodpowiednio, to tylko dlatego, że była bardzo zdenerwowana tą historią z dziećmi, wiesz.

- Wiem. Była zdenerwowana, bo jej taktyka przestała się sprawdzać, czyż nie?

- Nie! - zaprzeczył Mike. - Była zdenerwowana, bo martwiła się o dzieci.

- Ach, rozumiem!

- Cieszę się.

- Ja również. Zwłaszcza że nie ma w pobliżu pewnej osoby...

- Erin, przestań! Dlaczego kpisz sobie ze mnie?

- Gdzieżbym śmiała!

- A jednak.

- A jednak chodźmy już do dzieciaków na te placuszki, dobrze? - zaproponowała Erin, starając się zmienić kłopotliwy temat.

- Chodźmy, chodźmy - skwapliwie zgodził się Mike.

- Tak chyba będzie najlepiej.

Przez dobre pół godziny Erin, Mike, Laura i Matthew zajadali się placuszkami i wesoło sobie gawędzili o tym i o owym.

- Dobrze, że ciocia Caroline nie widzi, jak chichoczymy przy jedzeniu - zauważyła w którymś momencie Laura.

- I jak jemy placuszki palcami - dodał Matt.

Erin parsknęła niefrasobliwym śmiechem, usłyszawszy te słowa. A rozbawiony dotychczas Mike nagle nachmurzył się i spoważniał.

- No, dzieciaki, wystarczy tego dobrego! - powiedział mentorskim tonem.

- Idźcie umyć porządnie ręce.

- Dobrze, wujku, już idziemy - mruknęła pojednawczo Laura.

- A czy będziemy mogli potem zajrzeć do Paddy'ego? - zapytał Matt.

- Jeśli tylko Erin wam pozwoli, to ja osobiście nie mam nic przeciwko temu - odparł z powagą Mike McTavish.

- Pozwoli nam pani?

- Oczywiście, że tak! - z miejsca zgodziła się Erin.

- Zajrzyjcie do Paddy'ego, on na pewno nie może się już was doczekać.

- To idziemy! - wykrzyknął Matt.

- Biegniemy! - huknęła Laura.

Po czym oboje zerwali się od stołu i na wyścigi wyskoczyli z kuchni.

- Ależ oni mają energię! - westchnął Mike.

- Jak wszystkie dzieci - skostatowała Erin. Mike z dezaprobatą pokręcił głową.

- Dobrze wychowane dzieci powinny mieć odpowiednie maniery i przestrzegać określonych zasad, zwłaszcza w kontaktach z dorosłymi - stwierdził.

- Cytujesz słowa Caroline?

- Nie! Wypowiadam własne zdanie na ten temat.

- Czyżby?

Trzydziestoletni Mike McTavish, jeden z najbogatszych farmerów w całym stanie Wiktorja, spuścił głowę, jak przyłapany na drobnym kłamstewku uczniak.

- Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, Erin, co to znaczy wychowywać dwoje rozbrykanych sześciolatków? - zapytał. - Czy ty wiesz, co to znaczy opiekować się dziećmi, które niedawno straciły rodziców?

- Nnno... nie.

- Widzisz! A na mnie to wszystko spadło dosłownie jak grom z jasnego nieba, ta wiadomość o tragicznej śmierci brata i bratowej, ten obowiązek zajęcia się Laurą i Mattem. Poleciałem do Sydney, przywiozłem ich tutaj i zupełnie nie wiedziałem, co mam robić dalej. Jestem wdzięczny Caroline, że mi pomogła, że pomaga mi nadal.

- Ale przecież to ona swoimi metodami wychowawczymi doprowadziła do ucieczki dzieci z domu!

- Dzieci miewają swoje kaprysy, miewają także szalone pomysły.

- Czy tylko tyle nauczyłeś się wczoraj, Mike? Czy może znowu cytujesz Caroline?

- Nikogo nie cytuję, Erin. Mówię własnymi słowami, jak zawsze. I jak zawsze sam pilnuję swoich spraw. A w cudze sprawy się nie wtrącam.

- Czy chcesz przez to powiedzieć...

- Właśnie tak! - potwierdził zirytowany Mike, nie czekając nawet, aż Erin sformułuje pytanie do końca. - Laura i Matt są pod naprawdę dobrą opieką. Więc zatroszcz się raczej o swojego dziadka, który od dwudziestu lat w pojedynkę męczy się z farmą, a ostatnio na tyle podupadł na zdrowiu, że zaczął się poważnie zastanawiać nad sprzedażą ziemi.

- Skąd wiesz?

- Od miejscowego pośrednika. Pytał mnie, czy w razie czego nie byłbym zainteresowany, jako sąsiad.

- I co mu odpowiedziałeś?



- Że tak.
- Niedoczekanie! Przecież dziadek umarłby z rozpaczy następnego dnia po transakcji.
- Tak myślisz?
- Oczywiście! On bez tej farmy, bez tej ziemi, gdzieś daleko stąd, nie byłby w ogóle zdolny do życia. Dlatego przyjechałam, żeby mu pomóc, tu, na miejscu.
- Rychło w czas!
- Wcześniej nie mogłam. Nie byłam jeszcze wystarczająco samodzielna.
- Ale twój ojciec chyba był.
- Mój ojciec? A co ma tutaj do rzeczy mój ojciec?
- Twój ojciec zostawił dwadzieścia lat temu swojego ojca w pojedynkę na farmie i wyniósł się do Ameryki. I nigdy więcej się tu nie pojawił, bodaj na parę dni.
- Widocznie miał swoje powody - stwierdziła Erin, wzduszając ramionami. - Nie znasz ich, więc nie powinieneś go osądzać.
- A ty nie powinnaś osądzać Caroline!
- Ja nie osądzam nikogo, Mike. Ja tylko robię, co uważam za stosowne. Dlatego przyjechałam do dziadka, na stałe. Dlatego zawróciłam wczoraj Laure i Matta z drogi do Sydney i przywiozłam ich tutaj.
- Jestem ci wdzięczny.
- Daruj sobie! Zachowaj lepiej całą wdzięczność dla Caroline.
- Lepiej ty daruj sobie te niepotrzebne złośliwości, Erin!
- Lepiej już sobie po prostu pójdę, bo w końcu zabrnijemy za daleko. Mike McTavish głęboko westchnął i popatrzył na Erin z ukosa.
- Odprowadzę cię - zaproponował.
- Skoro ciocia Caroline tego nie widzi...
- Złośnica z ciebie!
- Czasami.

- Ale czasami całkiem sympatyczna złoźnica!

- Naprawdę?

Zaskoczona komplementem Erin zarumieniła się. Mike uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Tak myślę - stwierdził. - Gdyby cię tylko trochę poskromić, jak niesforne konia, to pewnie...

Nie dokończył, bowiem do kuchni wpadła nagle przerażona Laura, z głośnym krzykiem:

- Ratunku! Paddy porwał Matthew!

## *ROZDZIAŁ CZWARTY*

Erin i Mike zerwali się z krzeseł i razem z Laurą popędzili tam, gdzie powinien stać Paddy, przywiązany za uzdę do ogrodzenia.

Po Paddym nie było jednak ani śladu.

A raczej - były wyłącznie ślady!

Ślady kopyt, odcisnięte w piaszczystym z lekka gruncie i prowadzące prosto w stronę bramy.

- Czy Paddy zerwał się z uwięzi? - zapytała zdezorientowana Erin.

- Nie, nie - odpowiedziała Laura. - Myśmy go odwiązali. Ja i Matt.

- I wtedy on się wam wyrwał i wybiegł za bramę? - Erin próbowała zrekonstruować dalszy przebieg wypadków.

- Nie, nie... - zaprzeczyła Laura. - Myśmy z Mattem go wyprowadzili.

- A potem Paddy wam uciekł, tak?

- Nie, nie! Potem Matthew na niego wszedł.

- Wszedł? - zdziwiła się Erin.

- Ale w jaki sposób? - wtrącił pytanie nie mniej zdumiony Mike McTavish. - Przecież jest jeszcze za mały, żeby dosięgnąć nogą do strzemienia!

- Jest za mały, wujku, faktycznie - potwierdziła z powagą Laura. - Dlatego musiał najpierw wejść na płot i dopiero z płotu wskoczył Paddy'emu na grzbiet.

- I co potem zrobił?

- Potem zawołał „wio” i Paddy ruszył naprzód, prosto na wujka pole, o tam! - Laura wskazała na rozciągający się naprzeciwko bramy łąn zboża. - I porwał Matthew - dodała ze smutkiem.

- Jak to, porwał ? - zapytała Erin.

- No, wcale się nie zatrzymał, chociaż wołałam głośno „stój”. I wcale nie zawrócił, chociaż wołałam głośno „wróć”. Więc chyba porwał Matta - przedstawiła swój punkt widzenia dziewczynka.

- A co wołał Matthew, kiedy ty wołałaś „stój” i „wróć”? - zapytał Mike.

- Tego nie wiem, wujku. - Laura wzruszyła bezradnie ramionami. - Z daleka nie było słyhać.

- Jeżeli nadal wołał „wio”, to by znaczyło, że Matt porwał Paddy'ego, a nie Paddy porwał Matta - mruknęła z cicha Erin.

- Tak czy inaczej, Paddy'emu nic nie grozi, a Matt może spaść i zrobić sobie krzywdę! - zafrasował się Mike.

- Wsiądę na motor i objadę pole dookoła, to może zdążę zatrzymać konia, zanim...

- Nie! - powstrzymała go Erin. - Warkot motoru tylko spłoszy Paddy'ego. Zamiast się zatrzymać, popędzi jeszcze szybciej.

- Więc co mam robić?

- Zaczekaj. Spróbuję coś zaradzić - powiedziała Erin. Po czym głośno, przeciągle, zagwizdała na palcach.

- Myślisz, że Paddy wróci na to twoje gwizdnięcie? - sceptycznym tonem zapytał Mike.

- Powinien.

- A jeśli nie?

- Po co uprzedzać fakty? - pytaniem na pytanie odpowiedziała Erin. -  
Zaczekajmy chwilę.

Czekali w milczeniu i napięciu, licząc w myślach upływające sekundy.

Gdy wreszcie dał się słyszeć tętent końskich kopyt i trzask tratowanego zboża, napięcie jeszcze wzrosło, bo nie było przecież wiadomo, czy Paddy wraca z Mattem na grzbiecie, czy - nie daj Boże - sam, bez jeźdźca.

Wrócili na szczęście obydwaj, Paddy z Mattem w siodle. Obydwaj niesłychanie zadowoleni. A zwłaszcza Matt.

- Ale to była jazda! - wykrzyknął. - Lepsza niż na karuzeli w lunaparku! Byłem w niebie!

- Była... ale już się skończyła, młody człowieku - mruknęła Erin i przytrzymała konia, żeby sześciolatek mógł, z pomocą wujka, zejść z nieba... to znaczy z końskiego grzbietu... na ziemię.

- Matthew, przecież mogłeś spaść z tego konia i zrobić sobie krzywdę! - odezwał się z wyrzutem Mike.

- Mogłem? - zdziwił się Matt i zrobił skruszoną minę.

- No, ale przecież nie spadłem, wujku! - stwierdził, odzyskując rezon. - Tylko... hm... - ponownie się zafrasował. - Stratowałem ci trochę zboża.

- I kara cię nie minie! Porwałeś konia, stratowałeś zboże, naraziłeś nas na zdenerwowanie, a siebie na niebezpieczeństwo. Mogłeś przecież spaść i wszystko sobie połamać!

- Ale nie spadł - zauważyła Erin.

- To prawdziwy cud!

- Racja, Mike. Prawdziwy cud. A raczej prawdziwy talent jeździecki! Szkoda byłoby go zmarnować, Matt powinien uczyć się konnej jazdy. U mnie!

- Przecież się uczą obydwójce, razem z Laurą, na farmie ojca Caroline.

- Wujku, ale tam jeździmy tylko na kucykach! - jęknął Matt.

W tym momencie Erin nie wytrzymała i wybuchnęła głośnym śmiechem.

Mike spojrział na nią z ukosa, ale po chwili sam również zaczął się śmiać. Zawtórowali mu Matthew i Laura.

I nawet Paddy zarżał wesoło, jakby wszystko zrozumiał.

- Na kucykach! Koń by się uśmieł! - wykrztusiła rozbawiona do łez Erin.

- Właśnie się uśmieł, przed chwilą - mruknął Mike.

- I jaki z tego wniosek?

Mike McTavish w milczeniu wzruszył ramionami.

- Wujku, pozwól! - jęknął Matt.

- A pytałeś o pozwolenie, kiedy wsiadałeś na Paddy'ego?

- Nie.

- No... więc za karę... hm... do końca tygodnia nie będziesz dostawał po obiedzie deseru. A lekcje konnej jazdy zaczniesz brać... hm... jak tylko Erin wyznaczy ci jakiś termin.

- Hura! - wykrzyknął rozpromieniony Matthew i zaczął podskakiwać obok wujka, chcąc go cmoknąć w policzek.

Mike McTavish porwał sześciolatniego bratanka na ręce i podniósł go wysoko do góry.

- A mnie, wujku? - odezwała się zazdrosna z lekka Laura.

Mike postawił Matthew na ziemi, wziął na ręce jego siostrę i trzymając ją w górze, okręcił się kilkakrotnie wokół własnej osi.

- Karuzela, karuzela! - piszczała uradowana Laura.

- Ja też chcę, wujku, ja też! - zaczął się głośno domagać Matt.

Mike przestał się kręcić, postawił na ziemi Laurę i stwierdził nie dopuszczającym sprzeciwu tonem:

- Wystarczy! Ty będziesz jeździł na koniu, Matthew.

- A ja, wujku? - zapytała nieśmiało Laura.

- Też byś chciała?

- Chyba tak... tylko...

- Tylko co?

- Tylko... hm... Paddy jest taki duży. Nie powiem, żebym przepadała za tymi kucykami cioci Caroline, wolałabym jeździć na prawdziwym koniu. Ale na takim trochę mniejszym od Paddy'ego!

- Tessa będzie dla ciebie w sam raz, kochanie, nic się nie martw - odezwała się z uśmiechem Erin.

- Czy Tessa to też koń? - zainteresowała się Laura.

- Koń płci żeńskiej, czyli klacz. Bardzo ładna, drobna, gniada klaczka. Jest u mojego dziadka. Dotrzymuje towarzystwa jego czarnemu ogierowi, imieniem Blaze.

- Czyżby twój dziadek nadal jeździł konno? - zapytał Mike.

- Oczywiście! Nie mógłby bez tego żyć.

- To tak, jak ja - wtrącił się Matt.

- A ja? - Laura najwyraźniej nie była do końca pewna własnego stanowiska wobec konnej jazdy.

- Ty jesteś dziewczynką - mruknął Mike.

- I z tego powodu nie będę mogła jeździć na koniu?

- Sam nie wiem... - Mike rozłożył bezradnie ręce. - Najlepiej zapytamy ciocię Caroline.

- Jeśli zapytamy, to ciocia Caroline na pewno się nie zgodzi. Sam musisz podjąć decyzję, wujku. W końcu, to przecież ty tu rządysz, a nie ona! - stwierdziła rezolutnie Laura.

Erin mocno przygryzła wargi, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

Mike mocno się zaczerwienił i chcąc ukryć zakłopotanie, zrobił marsową minę.

- Muszę się zastanowić - mruknął.

- Jak tylko się zastanowisz, daj mi znać - odezwała się Erin. - Tymczasem do zobaczenia, moi kochani sąsiedzi. Muszę już jechać, bo dziadek zbudzi się z poobiedniej drzemki i będzie się o mnie niepokoił. Cześć!

Dosiadła Paddy'ego i ruszyła powoli w stronę domu.

Laura i Matthew pomachali jej na pożegnanie. Natomiast głęboko zamyślony Mike tylko odprowadził ją wzrokiem.

Mike McTavish intensywnie rozmyślał przez całe popołudnie. W końcu, pod wieczór, zdecydował się odwiedzić Erin O'Connell. Zanim się wyszykował i dotarł na farmę starego Jacka O'Connella, zapadł zmierzch.

Erin, która zdażyła już posprzątać po kolacji, siedziała na werandzie i wpatrywała się w gwiazdy, tworzące na niebie efektowny, charakterystyczny dla antypodów, niewidoczny na północ od równika Krzyż Południa.

Usłyszawszy w ciemności odgłos zbliżających się kroków, zerwała się na równe nogi z dziadkowego bujanego fotela i głośno zapytała:

- Kto idzie?

- Sąsiad, McTavish - odpowiedział Mike i podszedł do balustrady.

- Czy coś się stało? - zaniepokoiła się Erin.

- Nie. Chciałbym tylko z tobą pogadać.

- O czym?

- No, o tych lekcjach jazdy.

- Teraz? W nocy?

- Przecież nie śpisz!

- Ja jeszcze nie, ale dziadek już się położył - powiedziała trochę bez sensu Erin, zakłopotana niespodziewaną wizytą.

- Nie będziemy go budzili, mam sprawę tylko do ciebie. Mogę się przysiąc?

- Tak... proszę. Usiądźmy.

Erin wskazała Mike'owi staroświeckie drewniane krzesło z wysokim oparciem, a sama wróciła na fotel.

- Czyżbyś uzyskał tak szybko zgodę Caroline? - odezwała się ironicznym tonem.

Mike zerknął na nią z ukosa i mruknął:

- Zgoda Caroline nie jest mi do niczego potrzebna.

- Naprawdę?

- W końcu, to przecież ja rządę na farmie, jak powiedziała mi kilka godzin temu Laura.

- Na farmie tak, ale czy również w domu?

- Z całą pewnością. Pozwól, że ci to udowodnię.

- W jaki sposób? Zgodzisz się na te lekcje jazdy dla małej?

- Lekcje to drobiazg - mruknął Mike i z lekceważeniem machnął ręką. Po czym zrobił dość długą pauzę i stwierdził z triumfującym uśmiechem:

- Zaproszę cię na niedzielę na obiad! To znaczy, już cię zapraszam...  
niniejszym.

- A Caroline mnie nie zastrzeli, jak się zjawię? - palnęła Erin.

- Też coś! - obruszył się Mike. - Caroline nawet nie umie strzelać. Za to doskonale gotuje!

- Słyszałam od dziadka, że sztuki gotowania i w ogóle prowadzenia domu uczyła się aż we Francji.

- To prawda.

- A ja nie umiem zrobić w domu prawie nic! - przyznała się Erin z rozbijającą szczerością. - Nie umiem szyć, cerować, dziergać na drutach. A gotuję po prostu beznadziejnie!

- Na pewno nie gorzej ode mnie - mruknął z wyrozumiałym uśmiechem Mike. - Spytaj tylko Laurę i Matta o moje kulinarne wyczyny.

- Na pewno gorzej! Przypalam nawet czystą wodę w czajniku.

- Żartujesz sobie, Erin! - wykrzyknął rozbawiony już na dobre Mike. - Po prostu mnie nabierasz!

- A niby po co miałabym to robić?

- Sam nie wiem. Może po to, żeby wydać się inną niż wszystkie kobiety?

- Wszystkie kobiety, powiadasz. A cóż takiego je łączy, twoim zdaniem, poza anatomią? - pół żartem, pół serio zapytała Erin.

- Zamiłowanie do prowadzenia domu. Czasami dość głęboko ukryte.



- Koniec świata! - jęknęła Erin i teatralnym gestem złapała się za głowę. -  
Więc przyjechałam z Ameryki do Australii tylko po to, żeby natknąć się na  
faceta o takich samych poglądach jak chłopak, z którym kiedyś chodziłam w  
Pittsburghu? Czy ty wiesz, Mike, co tamten idiota mi powiedział?

- Nie mam pojęcia.

- Że chciałby się ze mną ożenić, bo sam kiepsko radzi sobie z  
prasowaniem!

- I co ty na to?

- Odesłałam go do diabła i do dziś jestem panną na wydaniu.

- A szukasz męża?

Erin zarumieniła się gwałtownie, usłyszawszy to dość obcesowe pytanie  
przystojnego sąsiada. Szczęśliwie, nie straciła jednak kontenansu.

- Ze względu na gotowanie i prasowanie o wiele bardziej potrzebna mi  
jest żona! - odpowiedziała rezolutnie, obracając wszystko w żart.

- To zupełnie tak samo, jak mnie! - Mike podchwycił jej figlarny ton.

- Jak to dobrze, że szukając sobie żony, trafiłeś akurat na Caroline  
Podger! - stwierdziła Erin i nagle spoważniała. - Ale dobrze też, że szukając  
trenera jazdy konnej, trafiłeś akurat na mnie - dodała. - Na koniach znam się  
całkiem nieźle.

- Cóż, jeśli jeździsz na nich tak samo dobrze, jak na nie gwizdzesz...

- Zamiast stroić sobie ze mnie żarty, Mike, chwilę zaczekaj - mruknęła  
Erin. - Coś ci pokażę.

Zerwała się z fotela i pobiegła do swojego pokoju.

Z jednej z dwu - wciąż jeszcze nie rozpakowanych do końca - średniej  
wielkości walizek, w jakich przywiozła z Ameryki do Australii cały osobisty  
dobytek, wydobyła niewielkie pudełeczko.

Wróciła na werandę i podała je Mike'owi.

- Co tam jest? - zapytał.

- Zobacz.

Obracając zamknięte pudełeczko w dłoni, Mike zaczął dowcipkować:

- Może tam jest jakiś maleńki diabełek? Zaraz wyskoczy i jeszcze złapie mnie za palec.

- Nie bój się, sprawdź. Mike otworzył pudełeczko.

- Wielkie nieba, czy ja naprawdę widzę to, co widzę?! - wykrzyknął z niedowierzaniem, zorientowawszy się, co jest w środku. - Medal olimpijski?

- Srebrny - mruknęła Erin.

- Z ostatniej olimpiady?

- Tak się złożyło.

- Erin... ja widzę... że ty naprawdę jesteś inna niż wszystkie kobiety... jakie znam. - Mike McTavish z emocji mówił trochę nieskładnie, a jego dźwięczny, męski głos pobrzmiewał niekłamanym podziwem. - Zapamiętałem cię sprzed lat jako Anię z Zielonego Wzgórza, a teraz spotykam autentyczną mistrzynię olimpijską. Erin! Jak to się stało, że trafiłaś tu, na nasze australijskie odludzie, zamiast trenować w Ameryce i odnosić dalsze sportowe sukcesy?

- Paddy, mój ukochany koń, nie może już startować w zawodach, ze względu na wiek. Przeszedł na emeryturę - odpowiedziała Erin.

- A ty razem z nim?

- Poniekąd.

- Mogłabyś przecież zmienić konia!

- Ech, to wbrew pozorom wcale nie jest takie proste! - westchnęła Erin i pokręciła głową. - Paddy jest dla mnie kimś bliskim, bardzo bliskim, a nowy koń byłby z początku zupełnie obcy. Zresztą... hm... - Zawiesiła na moment głos i wzruszyła ramionami.

- Tak?

- Dziadek mnie potrzebował. Nie mogłam pozwolić, żeby sam męczył się z farmą albo żeby ją sprzedał i potem usychał z tęsknoty za nią w jakimś domu opieki.

- Więc tak naprawdę zrobiłaś to... zrezygnowałaś ze sportowej kariery... dla dziadka?

- Tak naprawdę, zrobiłam to dla siebie! - stwierdziła z przekonaniem Erin.

- Zamknęłam pewien etap w moim życiu i otworzyłam nowy. Do tej pory uprawiałam jeździectwo, a teraz poprowadzę farmę.

- I nauczysz moje bliźniaki konnej jazdy?

- Nauczę, czemu nie? Matthew ma talent, Laura być może też. Warto się nimi zająć.

- Taka trenerka! - zaczął się entuzjasmować Mike. - Mają dzieciaki szczęście, można powiedzieć. Srebrna medalistka olimpijska!

- Nie chciałabym się tym chwalić - powiedziała Erin.

- Dlatego, proszę cię, nie mów nikomu.

- Ale dlaczego? - zdziwił się Mike. - Dla tutejszych prowincjuszy to byłaby prawdziwa sensacja. Że też stary Jack O'Connell nikomu nic o tym nie opowiedział!

- Dziadek nigdy nie był zbyt skłonny do osobistych zwierzeń.

- Fakt. Odziedziczyłaś to po nim?

- Może... - mruknęła Erin i uśmiechnęła się trochę niepewnie. - Ale przede wszystkim, Mike, doszłam jakiś czas temu do wniosku, że nie chcę żyć przebrzmiałymi sukcesami - stwierdziła. - Wolę osiągnąć coś nowego! O starych dziejach opowiem wnukom, jeśli je kiedykolwiek będę miała. A tymczasem, chcę być dla tutejszych ludzi Erin O'Connell, wnuczką ich sąsiada, starego Jacka, a nie jakąś tam lokalną osobliwością.

- Cóż, twoja decyzja, twoja sprawa. Będę trzymał język za zębami, skoro sobie tego życzysz - zapewnił Mike. - Żyj sobie po nowemu. Tylko, czy nie będziesz tęsknić za tym wszystkim, co porzuciłaś?

Erin opuściła nisko głowę i przez dłuższą chwilę milczała. W końcu odezwała się stłumionym głosem:

- Widzisz, Mike, w życiu zawsze się za kimś albo za czymś tęskni. Kiedy trenowałam w Ameryce jeździectwo i wojażowałam po całym świecie, biorąc udział w zawodach, tęskniłam za spokojem tego miejsca, w którym się w tej chwili znajdujemy. I tęskniłam za dziadkiem. Miałam wyrzuty sumienia, że jest tu sam, bez rodziny, że nikt z bliskich mu nie pomaga, nikt się nim nie opiekuje.

- Przecież twój dziadek ma nie tylko ciebie! - obruszył się Mike. - Ma jeszcze syna! To raczej on, twój ojciec, Richard O'Connell, powinien się poświęcić. Wyjechał stąd dwadzieścia lat temu...

- Wyjechał, bo musiał wyjechać. I nie wraca, bo nie może wrócić. A nikt, kto nie zna przyczyn, nie powinien go w związku z tym oceniać, nawet tak ważna lokalna figura, jak ty! - wybuchnęła Erin.

- Przyczyny... - mruknął Mike, wzruszając ramionami. - Ożenił się z Amerykanką, więc wyjechał do Ameryki. Nie wraca, bo widocznie tam żyje mu się wygodniej, niż żyło mu się tutaj, w Australii. To wszystko.

- Wcale nie wszystko! - energicznie zaprzeczyła Erin. - W grę wchodzi zupełnie inna sprawa.

- Jaka?

- Choroba mojego ojca.

- Choroba?

- Wrodzona choroba.

- Wrodzona? To dlaczego nikt o niej nie słyszał? Tutaj, gdzie wszyscy wszystko o sobie wiedzą?

- Po pierwsze dlatego, że nawet mój ojciec nie był jej świadom przez ileś tam lat swojego życia.

- Jak to?

- No, po prostu. Od dziecka cierpiał na astmę, więc był przekonany, że to właśnie z jej powodu często brakuje mu tchu. Tymczasem...

- Tymczasem, co?

- W Ameryce okazało się, że to przewlekła choroba płuc, rozedma.

- Rozedma płuc? Nazwę chyba słyszałem, ale nie mam zielonego pojęcia, na czym to polega i czym grozi - przyznał się Mike.

- Jak sama nazwa wskazuje, rozedma polega na nadmiernym rozdymaniu się i pękaniu pęcherzyków płucnych wskutek znacznego zmniejszenia się ich naturalnej sprężystości - wyjaśniła w encyklopedycznym skrócie Erin.

- Czym to grozi?

- Śmiercią.

- Mój Boże! Nie wiedziałem.

- Pierwszy taki pęcherzyk pękł ojcu właśnie podczas lotu do Stanów, pod wpływem różnicy ciśnień. Amerykańscy lekarze z trudem go odratowali. I ostrzegli, że nie powinien ani podróżować samolotem, ani ciężko fizycznie pracować, ani oddalać się od miejsca, gdzie w razie kolejnego ataku mógłby natychmiast poddać się operacji.

- Dlatego zostaliście w Stanach?

- Owszem, dlatego zostaliśmy w Pittsburgu na stałe, chociaż mieliśmy posiedzieć tam tylko trochę... Pojechaliśmy przecież tylko w odwiedziny do rodziców mojej mamy. I dlatego mój ojciec zajął się pracą biurową, zamiast prowadzeniem rodzinnej farmy.

- Radzi sobie jakoś?

- No cóż... Tam, w Ameryce, może jakoś żyć, mimo ponawiających się od czasu do czasu ataków choroby. Tu, w Australii, byłby skazany na śmierć. To przecież nie jest kraj dla schorowanych słabeuszy, Mike. To kraj dla naprawdę mocnych ludzi.

- Takich jak twój dziadek?

- Właśnie, dla takich, jak mój dziadek - potwierdziła z zadumą Erin. - I dla takich, jak ty. I dla takich, jak ja, mam nadzieję.

- Ale dlaczego stary Jack O'Connell nikomu tutaj nie wspomniał bodaj słowem o ciężkiej chorobie swojego jedyne go syna? - zdziwił się Mike.

- Dziadek nigdy nie był zbyt skłonny do osobistych zwierzeń, przecież ci mówiłam. Już taki ma charakter, że nie lubi narzekać ani prosić nikogo o pomoc. Więc nie skarżył się nikomu i radził sobie przez te wszystkie lata z farmą, jak mógł.

- Niestety, robił się coraz starszy, a nie coraz młodszy, więc wychodziło mu to z każdym rokiem coraz gorzej - zauważył Mike.

- To prawda. Dlatego w końcu postanowił wszystko sprzedać i przenieść się do domu opieki. Kiedy napisał nam o tym, odbyliśmy rodzinną naradę.

- I co?

- I właśnie podczas tej rodzinnej narady ja zdecydowałam się przyjechać tutaj, żeby farma pozostała w rękach O'Connellów i żeby dziadek mógł sobie spokojnie mieszkać we własnym domu.

- Poświęciłaś się?

- W pewnym sensie. Ale przede wszystkim - stwierdziła z przekonaniem Erin - wróciłam do miejsca, za którym tęskniłam przez wszystkie ostatnie lata. Ja nie znoszę dużego miasta, Mike, nie cierpię hałasu, tłoku, ulicznego ruchu. Uwielbiam za to ciszę, otwarte przestrzenie...

- I oczywiście konną jazdę.

- Właśnie! W Pittsburghu dosłownie nie mogłam wytrzymać, wciąż uciekałam na niewielką, podmiejską farmę moich dziadków, rodziców mamy. Na początku właśnie tam jeździłam sobie konno, po prostu dla przyjemności.

- A potem?

- Potem wujek, brat mojej mamy, który jest pośrednikiem w handlu końmi, pomógł mi trochę finansowo, w zamian za reklamę jego firmy. Dzięki temu mogłam profesjonalnie trenować i przygotowywać się do olimpiady.

- Przygotowałaś się nie najgorzej, biorąc pod uwagę ten medal.

- Mike, ten medal jest w ogromnym stopniu zasługą Paddy'ego. Mam wobec niego spory dług wdzięczności.

- To dlatego nie zostawiłaś go na emeryturze w Ameryce, tylko przywiozłaś ze sobą aż tutaj?

Erin uśmiechnęła się.

- Przywiozłam go po prostu dlatego, że jesteśmy ze sobą blisko zaprzyjaźnieni - stwierdziła.

- Transport konia z kontynentu na kontynent, przez ocean, jest chyba dość kosztowny, prawda?

- Owszem. Ale mnie nie kosztował ani centa.

- Jak to? - zdziwił się Mike.

- Odpracowałam całą sumę. Pewien znajomy wuja przerzucił tutaj ze Stanów dziewiątkę koni wyścigowych i pozwolił mi dołączyć do nich bezpłatnie Paddy'ego w zamian za pomoc przy transporcie. To była naprawdę ciężka harówka, możesz mi wierzyć...

- Nie wątpię!

- ...ale udało się - Erin dokończyła z triumfującym uśmiechem przerwane zdanie. - Paddy i ja jesteśmy w Australii!

Mike McTavish pokiwał enigmatycznie głową, spoglądając gdzieś w dal.

- I co dalej? - zapytał po chwili milczenia.

Erin wzruszyła ramionami.

- Dalej już nic - mruknęła. - Zostajemy tutaj.

- Na stałe?

- Ma się rozumieć!

- Myślisz, że dasz sobie radę z tą zaniedbaną farmą? - bez ogródek zapytał Mike.

- Oczywiście! - dość niefrasobliwie zapewniła go Erin. - Przecież w Ameryce nie tylko trenowałam jeździectwo. Ukończyłam też kursy rolnicze.

- Więc pewnie wiesz, w jaki sposób farmer, hodowca bydła, powinien przygotować się do zimy?

- Wiem - odpowiedziała krótko, po czym nagle spochmurniała i umilkła.

- No więc? - Nie dawał za wygraną Mike.

- Powinien zgromadzić dla bydła odpowiedni zapas paszy: siana i kiszzonek.

- Macie dość paszy?

- Kiszzonek mamy dość, ale siana nam brakuje - mruknęła posepnie Erin. - A na przeprowadzenie sianokosów brakuje nam sprzętu i ludzi - dodała, nie czekając na kolejne dociekliwe pytanie sąsiada.

- Co w takiej sytuacji zrobicie?

- Będziemy się modlić o łagodną zimę - szepnęła Erin i opuściła nisko głowę.

- Mam lepszy pomysł - powiedział Mike.

- Jaki?

- Podeślę ci ludzi i sprzęt.

- Nie ma mowy! - stanowczo sprzeciwiła się Erin.

- Dlaczego?

- Przecież wiesz, że nie byłabym w stanie ci zapłacić.

- Odpracujesz!

- W jaki sposób? - spytała i trochę podejrzliwie, spod oka, spojrzała na figlarnie uśmiechniętego Mike'a.

- Ucząc Laure i Matta konnej jazdy - odpowiedział. Erin roześmiała się.

- Musiałabym ich uczyć chyba przez rok, żeby ci się zrewanżować! - stwierdziła.

- Nie widzę przeszkód. Dwanaście miesięcy nauki za sianokosy, łącznie ze zwiezieniem przesuszonej trawy do stodół! To chyba uczciwa propozycja, nie sądzisz?

- Przede wszystkim to wyjątkowa uprzejmość z twojej strony!

- Absolutnie nie - zaprzeczył Mike. - Jak przypuszczam, lekcje u mistrzów olimpijskich na całym świecie kosztują majątek.

- Ale nie na australijskim pustkowiu!



- Dlatego ja wcale nie oferuję ci majątku, uparta dziewczyno, tylko zwyczajne sianokosy, z którymi kilku moich ludzi, przy użyciu odpowiedniego sprzętu, upora się raz dwa. A ty będziesz uczyła bliźniaki przez cały rok.

Więc, umowa stoi? - zapytał zniecierpliwiony lekko Mike i wyciągnął do Erin rękę.

Wahała się jeszcze tylko przez moment.

Pomyślała o zbliżającej się zimie, o stadzie, któremu groził głód, o farmie, której groziła finansowa katastrofa, o dziadku, wreszcie o sobie. Po czym z desperacką energią uściśnęła dłoń przystojnego sąsiada!

Mike promiennie się uśmiechnął i stwierdził:

- No, to ubiliśmy interes, panno O'Connell. Myślę, że dobry dla obydwu stron.

- Miejmy nadzieję, panie McTavish - mruknęła Erin. - Miejmy nadzieję.

Pomilczeli oboje przez chwilę. W końcu Mike uniósł się z krzesła.

- Zrobiło się trochę późno - zauważył. - Muszę wracać. Do zobaczenia w niedzielę!

- W niedzielę? - zdziwiła się Erin, wstając z dziadkowego fotela, żeby odprowadzić gościa do bramy. - Przecież na lekcje jazdy z bliźniakami dość będzie czasu w dni powszednie.

- Ale przecież na niedzielę zaprosiłem cię na obiad. Zapomniałaś?

- Z wrażenia chyba tak - przyznała się Erin.

- Przyjedź z dziadkiem - zasugerował Mike. - Będzie kilka osób z najbliższej okolicy. Stary Jack O'Connell nie ma przecież żadnych powodów, żeby się kryć przed sąsiadami. Przeciwnie, powinien pochwalić się wnuczką!

- Daj spokój, Mike - mruknęła Erin i machnęła ręką.

- Dziadek ma swoje lata i swoje dziwactwa, to pewne. Ale, jak się zgodzi, przyjedziemy do was razem w niedzielę.

- Będzie nam bardzo miło.

To się dopiero okaże, panie McTavish, pomyślała nie bez odrobiny złośliwości Erin, biorąc pod uwagę osobę Caroline Podger.

Nie podzieliła się jednak swoimi myślami z przystojnym sąsiadem.

Przeciwnie - zamaskowała je starannie czarującym, choć niewątpliwie trochę sztucznym uśmiechem.

## *ROZDZIAŁ PIĄTY*

Na wzięcie udziału w niedzielnym sąsiedzkim spotkaniu w domu Mike'a McTavisha sędziwy Jack O'Connell zgodził się nadspodziewanie łatwo.

- Skoro chcesz tu zamieszkać na stałe, moja mała, musisz dobrze żyć z tutejszymi ludźmi - oświadczył zaskoczony z lekka wnuczce. - A ja powinienem ci pomagać, a nie przeszkadzać, w nawiązywaniu towarzyskich kontaktów. Przecież jak będziesz siedzieć na tym odludziu tylko ze mną, końmi i krowami, ani chybi zwariujesz! Albo, co jeszcze gorsze, uciekniesz.

Z dziadkiem Erin nie miała zatem kłopotu. Natomiast ze strojem - ogromny!

Zawsze żałowała sobie pieniędzy na ciuchy, ponieważ wszystko, co kiedykolwiek zdołała zarobić, przeznaczała na finansowanie swojej - bardzo kosztownej skądinąd - jeździeckiej pasji. W przywiezionych z Ameryki do Australii walizkach miała w związku z tym trochę sportowej odzieży i tylko jedną jedyną ciemnozieloną sukienkę o prostym, ponadczasowym fasonie.

Tę sukienkę sprawiła sobie trzy lata temu i od trzech lat nieodmiennie wkładała ją na wszystkie spotkania rodzinne i towarzyskie, w jakich zdarzało się jej uczestniczyć: od wesel po pogrzeby.

- Wyglądam w tym... hm... dość prowincjonalnie - mruknęła sama do siebie, oceniając kreację w lustrze. - No, ale przecież mieszkam w tej chwili na

provincji, więc wszystko się zgadza - dodała z odrobiną wisielczego humoru i machnęła lekceważąco ręką.

Po czym udała się do pokoju dziadka.

- Wyglądasz wspaniale, moja mała! - zawołał na jej widok starszy pan, który wbijał się akurat z mozołem w zdecydowanie przyciasną kamizelkę od przedpotopowego garnituru.

- Ty też wyglądasz wspaniale, dziadku! - komplementem za komplement zrewanżowała się Erin. - Ale z kamizelki możesz śmiało zrezygnować.

- Dlaczego?

- Bo jest za ciepło.

- Naprawdę tak uważasz?

- Oczywiście.

- W takim razie włożę tylko marynarkę! - stwierdził z ogromną ulgą Jack O'Connell.

Kiedy już był gotowy, podał Erin ramię i podprowadził ją przed poszarzałe z lekka lustro w staromodnych ramach, zawieszzone na jednej ze ścian jego pokoju.

- No, jak wyglądamy, moja mała? - zapytał.

- Szczerze?

- Szczerze!

- Jak przybysze z głębokiej prowincji - palnęła Erin.

- Nawet się zgadza - mruknął Jack.

I oboje równocześnie, jak na komendę, wybuchnęli głośnym śmiechem.

Na farmę Mike'a pojechali zdezelowaną furgonetką Erin, ponieważ furgonetka dziadka prezentowała się jeszcze gorzej, a samochodu osobowego nie mieli.

W drodze humor im dopisywał, ale na widok zaparkowanych przy bramie wjazdowej eleganckich range-roverów i bentleyów oboje trochę stracili kontenans.

- A może powinniśmy zawrócić do domu, moja mała? - zaczął się na głos zastanawiać Jack O'Connell. - Przecież nasza stara drynda, ustawiona przy tych wszystkich luksusowych wozach, będzie się prezentowała...

- ...jak uboga krewna? - weszła mu w słowo Erin.

- Właśnie! Więc może zawróćmy?

Na odwrót było jednak za późno. Do furgonetki podbiegli bowiem Laura i Matthew.

Zaczęli otwierać od zewnątrz drzwi szoferki i jedno przez drugie pokrzykiwać:

- Chodźcie już, chodźcie do nas!

- Czekamy tu i czekamy przy bramie!

- Nudzimy się na tym przyjęciu!

- Nikt nie chce z nami rozmawiać!

Erin i Jack - trochę oszołomieni hałaśliwą dziecięcą paplaniną i w ogóle całą sytuacją - wysiedli ze swego wehikułu. Ciągnięci za ręce przez energiczne bliźniaki, z rezygnacją ruszyli w stronę domu.

Równie serdecznie, jak Laura i Matt, choć oczywiście nie aż tak żywiołowo, powitał ich na ganku gospodarz przyjęcia, Mike McTavish.

- Bardzo się cieszę, że przyjechaliście oboje! - stwierdził, ściskając im dłonie.

Już w następnej sekundzie u boku Mike'a stanęła Caroline Podger.

- Cudownie, że z nami jesteście! - zaszczębiotała, krzywiąc twarz w sztucznym, wymuszonym półuśmiechu.

Jack zerknął na nią z ukosa i znacząco odchrząknął, a Erin mruknęła bez przekonania:

- Nam również jest bardzo miło, że możemy się z wami spotkać.

Mike zaproponował Jackowi piwo i ująwszy starszego pana za łokieć, ruszył z nim w stronę domowego barku. Natomiast Caroline najpierw syknęła na

dzieciaki, żeby nie przeszkadzały dorosłym, tylko biegły na dwór się bawić, a następnie wprowadziła Erin do salonu.

Przedstawiła ją zgromadzonym tam dość licznie paniom w modnych, pochodzących z najdroższych sydneyjskich butików kreacjach i panom w eleganckich, świetnie skrojonych garniturach. Jako „Pannę O'Connell, nową sąsiadkę, przybyłą prosto z Ameryki”.

Erin starała się ze wszystkich sił nie okazać skrępowania czy onieśmienia w krzyżowym ogniu lustrujących ją spojrzeń.

Przecież ci wszyscy ludzie patrzą na mnie tak, jakbym przybyła nie z żadnej Ameryki, tylko prosto z Księżyca! - pomyślała nie bez złośliwości. Może to moja zielona sukienka im się nie podoba? A może moje rude włosy? - zastanawiała się, ściskając kolejne dłonie i wypowiadając stosowne towarzyskie formułki.

Nieważne! - monologowała w duchu buńczucznie dla dodania sobie odwagi. - Jak już się przywitam, nie będę musiała więcej z nimi gadać. Znajdę sobie jakieś przyjemniejsze zajęcie.

W istocie, znalazła je sobie bez trudu: zajęła się degustowaniem przekąsek. Były wytworne i wyśmienite. A słodczyce jeszcze lepsze! Caroline Podger nie na próżno uczyła się przyrządzania potraw aż w Paryżu.

Erin pałaszowała właśnie z apetytem trzeci kawałek czekoladowego ciasta, gdy niespodziewanie podszedł do niej Mike McTavish.

- Smakuje ci? - zapytał.

Skinęła głową i pośpiesznie przełknęła spory kęs, który akurat miała w ustach.

- Ciasto jest doskonałe - mruknęła lekko speszona.

- Inne rzeczy również.

- Zerkalem już od jakiegoś czasu, jak z apetytem zajadasz - stwierdził Mike z filuternym uśmiechem. - I zastanawiałem się, gdzie to wszystko ci się mieści?

Erin zarumieniła się z lekka, ale odpowiedziała w miarę swobodnie, wzruszając ramionami:

- Sama nie wiem! Moja mama zawsze powtarza, że mój żołądek to worek bez dna. Poza tym, to wszystko jest takie pyszne!

- Każda z pań, z którą rozmawiam, mi to powtarza - mruknął Mike. - Ale żadna prawie nic nie je!

- Dbają o linię - wyjaśniła mu Erin.

- Do tego stopnia?

- Widocznie tak.

- A ty nie musisz?

- Widocznie nie.

- Fakt, figurę masz bez zarzutu - ocenił Mike, obrzuciwszy Erin dość impertynenckim spojrzeniem.

Komplement sprawił, że zarumieniła się bez porównania mocniej niż przed chwilą.

- Mike... ja naprawdę sama nie wiem... jak to jest... że jem, ile chcę, a nie tyję - wykrztusiła.

- Nie tyjesz, bo ciągle jesteś w ruchu, moja mała! - odezwał się tubalnym głosem Jack O'Connell, który akurat znalazł się z pobliżu i najwidoczniej słyszał końcowy fragment rozmowy. - Czy ty wiesz, chłopcze - zwrócił się do Mike'a - co ona już dzisiaj, przy niedzieli, zdążyła zrobić, zanim przyjechaliśmy tutaj?

- Dziadku, daj spokój - jęknęła Erin.

- Przecież nie masz się czego wstydzić, moja mała, niech się raczej wstydzą leniuchy - stwierdził jowialnie starszy pan.

Po czym, lekceważąc gwałtowne protesty wnuczki, zaczął wyliczać:

- Po pierwsze, wstała skoro świt, żeby oporządzić nasze trzy konie. Po drugie, naprawiła parkan w zagrodzie dla bydła, bo młode byczki nadwerężyły go przez noc.

A po trzecie, zrobiła porządek w szopie na siano. Nieźle się napracowała, prawda?

- Owszem, nie najgorzej - przyświadczył z nie ukrywanym podziwem Mike.

- No widzisz! To chyba nic dziwnego, że po takiej solidnej robocie zjadła troszeczkę więcej niż te wszystkie tutaj... damulki... co to pewnie, odkąd wstały z piernatów, zdążyły tylko się wystroić i przyjechać na przyjęcie. Mam rację?

Mike McTavish uśmiechnął się figlarnie i mruknął:

- Chyba tak.

- A tak swoją drogą, chłopcze, to skąd się wzięło u ciebie całe to wyelegantowane towarzystwo? - zainteresował się dziadek.

- Z sąsiedztwa.

- To dlaczego ja ich wcale nie znam, a oni wszyscy gapią się na mnie jak na raroga?

- Przez ostatnie dziesięć lat nie udzielał się pan towarzysko.

- I ludzie zupełnie zapomnieli, jak wygląda stary Jack O'Connell, chcesz powiedzieć?

- Niektórzy zapomnieli, niektórzy pamiętają. Jak to w życiu - stwierdził filozoficznie Mike.

- Masz rację - zgodził się dziadek. - Ale coś mi się zdaje, chłopcze, że ty zaprosiłeś do siebie na dzisiaj raczej tych, którzy zapomnieli, prawda?

- No, czy ja wiem? - zastanowił się Mike. - Właściwie to Caroline opracowała listę gości, ja osobiście zaprosiłem tylko was.

- A jaka to okazja, można wiedzieć?

- Urodziny.

- Caroline?

Mike pokręcił przecząco głową i mruknął:

- Nie. Moje.

- Naprawdę? W takim razie, wszystkiego najlepszego! Przyznasz się, chłopcze, ileż to latek ci stuknęło?

- Równo trzydzieści.

- Jak ten czas szybko leci! - westchnął Jack O'Connell i pokręcił głową. - Przecież jeszcze niedawno nie byłeś większy od tych szkrabów, co to wyszły nam naprzeciw aż za bramę. I gdzie się podziały tamte piękne czasy? I gdzie się podział tamten mały Mike?

- A gdzie się podziały szkraby, czyli Laura i Matt? - wtrąciła Erin, by zmienić temat rozmowy i odwrócić uwagę dziadka od melancholijnych wspomnień.

- Laura i Matt? Śpią - odpowiedział Mike.

- O tej porze?

- Zawsze śpiąją po południu, od trzeciej do piątej. Caroline uważa, że powinni.

- Sześciolatki raczej nie przepadają za popołudniową drzemką - zauważyła Erin.

- To prawda - przyznał Mike. - Laura i Matt też chętnie by się gdzieś wymknęli, zamiast leżeć spokojnie przez dwie godziny i odpoczywać. Dlatego zamykam ich w pokoju na klucz na czas drzemki.

- A gdzie jest ich pokój?

- Na drugim piętrze, w końcu korytarza. To jest naprawdę bardzo ładny pokój, muszę ci powiedzieć, z piękną łazienką. Okno wychodzi prosto na stary wiąz, który rośnie przed domem.

- Na stary wiąz, powiadasz? - mruknęła Erin.

- No tak... A co?

- Nie, nic.

Erin uśmiechnęła się z lekka. Zdezorientowany trochę Mike odwzajemnił jej uśmiech.



Jack O'Connell spojrział najpierw na nią, potem na niego, a w końcu głęboko westchnął.

- Może chciałbyś już wracać do domu, dziadku? - zapytała go Erin.

- Czy ja wiem? Może...

- Nie ma mowy, panie O'Connell! - energicznie zaproponował Mike. - Już niedługo, punktualnie o czwartej, Caroline poda na stół mój urodzinowy tort. Musicie koniecznie go skosztować, pan i Erin. A tymczasem, dla pokrzepienia, napijemy się piwa. Zgoda?

- Niech będzie, chłopcze! - przytaknął z zadowoleniem starszy pan. - Wypijemy za tę twoją trzydziestkę.

Jack O'Connell i Mike McTavish oddalili się w stronę barku.

Erin została sama.

Nie namyślając się zbyt długo, wyszła przed dom. Przyjrzała się uważnie rosnącemu pod oknami wiązowi, najpierw z daleka, potem z bliska. A dokonawszy oględzin i upewniwszy się, że nikt jej nie obserwuje... zaczęła wspinać się na stare, rozłożyste drzewo.

Ponieważ łązić po drzewach uwielbiała od maleńkości, szło jej nad wyraz zręcznie.

Szybko dotarła na wysokość drugiego piętra i nawet sobie nie podarła wizytowej kreacji, a tylko pobrudziła ją w kilku miejscach o omszałe konary, to wszystko.

Zajrzała przez okno do pokoju Laury i Matta.

Nie spali. Siedzieli na łózkach z posepnymi minami i spoglądali w milczeniu na coś, co leżało na podłodze i przypominało z wyglądu... okazały, bogato udekorowany tort, trochę nadwreżony!

Erin zastukała w szybę. Dzieci równocześnie, jak na komendę, spojrzały w jej stronę.

Laura pierwsza zerwała się z łóżka i otworzyła okno. Matt podbiegł do parapetu zaraz za siostrą, by podać Erin rękę i pomóc jej wejść do środka.

- Hura! Nadszedł ratunek! - wykrzyknął radośnie. Laura była znacznie poważniejsza od brata:

- Stało się coś strasznego! - oznajmiła grobowym głosem. - Z urodzinowym tortem wujka.

- Widzę - stwierdziła Erin, spojrzawszy na rozgnieciony na podłodze popisowy wypiek Caroline. - Dlaczego zrzuciliście go na podłogę? - zapytała.

- Sam spadł ze stołu - mruknęła Laura.

- A skąd się w ogóle wziął w waszym pokoju?

- Myśmy go tu przynieśli - wyznał ze skruchą Matt.

- Ale po co?

- Żeby obejrzyć.

- I trochę skubnąć - dodała Laura.

- Ale ostrożnie, tak, żeby nic nie było widać - wyjaśnił Matt.

- Nie mogliście poskubać tortu w kuchni? - zdziwiła się Erin.

- Nie, bo ciocia Caroline nam nie pozwoliła.

- I powiedziała, że poda go gościom o czwartej, a my będziemy spali do piątej, jak zwykle.

- No, to zrobiło się nam szkoda, że nawet nie skosztujemy tego tortu.

- I przynieśliśmy go po kryjomu tutaj.

- Chcieliśmy trochę poskubać i odnieść.

- Ale wujek nas zamknął i nie mogliśmy wyjść.

- I tort stał na stole, aż w końcu spadł.

- Sam spadł? - z niedowierzaniem zapytała Erin. Rozgadane dotychczas bliźniaki nagle zrobiły się wyjątkowo milczące.

- No, słucham! - Erin starała się mówić jak najsurowszym tonem.

- Trochę mu pomogliśmy - mruknął Matt.

- W jaki sposób?

- Zaczęliśmy się przy nim przepychać.

- Żeby lepiej obejrzyć... - wtrąciła Laura.

- Ona pierwsza mnie popchnęła. - Matt spojrział z wyrzutem na siostrę.  
- Wcale nie, to on mnie.  
- Nieprawda!  
- Prawda!  
- Nieprawda!  
- Proszę o spokój! - ucięła dyskusję Erin. - Przepychaliście się przy stole i niechcący zrzuciliście tort na podłogę, tak?

Laura i Matt równocześnie kiwnęli głowami.

- I teraz nie bardzo wiecie, co z tym fantem zrobić, prawda?  
- Z fantem?  
- Z jakim fantem?  
- No, z tym tortem - wyjaśniła Erin. - Z urodzinowym tortem waszego wujka Mike'a.

- Wcale nie wiemy, co z nim zrobić - jęknęła Laura.

- Nie mamy pojęcia - zawtórował jej Matt.

- I myślicie, że ja wiem?

Ponowny równoczesny skłon dwu jasnowłosych główek.

- A ja też nie wiem. Dwugłosowe ciężkie westchnienie.

- Ale może coś wymyślę, poczekajcie.

- Hip, hip!

- Hura!

- Proszę o absolutny spokój! - uciszyła bliźniaki Erin. - Już chyba wiem, co zrobimy. Uwaga, spiskowcy, zaraz zaczynamy działać.

## *ROZDZIAŁ SZÓSTY*

Mike McTavish wszedł do pokoju bliźniaków dokładnie o czwartej piętnaście, czyli mniej więcej w pół godziny po tym, jak Erin, Laura i Matthew usłyszeli najpierw dobiegający z dołu wściekły okrzyk Caroline Podger, a następnie przenikliwy skowyt psów.

Wszedł do pokoju i nie zastał w nim nikogo.

Mocno zdziwiony zajrzał do szafy, pod jedno łóżko, pod drugie...

- Dzieciaki, gdzie wy, u licha, jesteście? - zapytał w końcu z niepokojem.
- W łazience. Razem z Erin - odpowiedziała zgodnie z prawdą Laura.
- Z Erin? - zdumiał się Mike.

Energicznym krokiem podszedł do łazienkowych drzwi i otworzył je na oścież. To, co zobaczył, zaskoczyło go tak bardzo, że aż znieruchomiał i zaniemówił.

Stał więc w progu i patrzył bez słowa.

Na co?

Na trzy głowy - jedną rudą i dwie blond - wynurzające się z kąpielowej piany, która wypełniała po same brzegi ogromną, rozmiarami zbliżoną do małego baseniku, wannę!

Mike McTavish stał, patrzył i milczał.

- Przesadziłam trochę z tymi bąbelkami, prawda? - mruknęła Erin, chcąc przerwać kłopotliwą ciszę.

Mike postąpił pół kroku do przodu, lekko odchrząknął i w końcu wykrztusił:

- A co wy tu, u licha, robicie w tej łazience?
- Kąpiemy się, wujku - odpowiedział Matt.
- A Erin?

- Erin też - wyjaśniła Laura. - Nigdy się nie kąpała w takiej dużej wannie, więc z ciekawości wskoczyła do wody razem z nami.

- W ubraniu? - zdziwił się Mike, spostrzegłszy wyłaniające się z piany kobiece ramię, nadal okryte zieloną tkaniną wizytowej sukienki.

- Przecież nie mogłam się rozebrać przy mężczyźnie - wyjaśniła Erin.

- To znaczy, przy mnie! - chętnie stwierdził Matt.

- Zresztą, my też jesteśmy ubrani, o proszę! - dodała Laura i podskoczyła w wannie, by pokazać wujkowi, że ma na sobie niedzielną bluzeczkę z aplikacjami i bufiastymi rękawkami oraz spódniczkę na szelkach.

- No, nie! Trochę już tego wszystkiego za wiele, jak na jeden dzień - jęknął Mike i przysiadł ciężko na łazienkowym taborecie.

- Czy coś może się stało tam na dole? - spytała Erin, robiąc niewinną minę. - Przed czwartą słyszeliśmy jakieś hałasy.

- A stało się, stało... - westchnął Mike. - I już się, niestety, nie odstanie! Psy zżarły mój wspaniały urodzinowy tort, przy którym Caroline napracowała się wczoraj przez większą część dnia.

- Psy zjadły tort? - Zdziwienie Erin było tak ogromne, że aż mało naturalne.

- Do ostatniej okruszynki.

- I co?

- Oberwały zdrowo od Caroline. Cisnęła w jednego jednym pantoflem, a w drugiego drugim.

- Czy nic złego się im nie stało? - zaniepokoiła się Erin.

- Nic. Psy porwały oba pantofle i puciekały do budy. A Caroline została boso - odpowiedział Mike.

Erin nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Po chwili zawtórowały jej również bliźniaki. Na koniec ogólna wesołość udzieliła się nawet Mike'owi.

- Nie masz pojęcia, Erin, jak Caroline komicznie wyglądała, w wizytowej kreacji i na bosaka - stwierdził chichocząc. - Prawie tak samo komicznie, jak ty

z dziećmi w tej pianie! A właściwie... - Mike McTavish nagle zamyślił się i spoważniał. - Właściwie, to jak ty się dostałaś do ich pokoju, skoro drzwi były zamknięte, a ja miałem przy sobie klucz?

- Weszłam przez okno - wyjaśniła Erin. - Wspięłam się na drzewo i weszłam. Trochę sobie pobrudziłam sukienkę o konary, więc chętnie wskoczyłam w niej do wanny, żeby ją przy okazji... hm... opłukać.

- I teraz, kiedy ją już opłukałaś, zejdziesz w niej na dół, do gości?

- Oczywiście, że nie! Ześliznę się po drzewie z powrotem na podwórko, wywołam dziadka i pojedę z nim do domu. Twoje urodzinowe przyjęcie i tak wkrótce się skończy, skoro nie ma tortu, prawda?

- Chyba tak - mruknął Mike. - A wam tej kąpieli też już chyba wystarczy!  
- stwierdził.

Podniósł się z taboretu, podszedł do wanny i wyciągnął z niej najpierw Laurę w ociekającej wodą bluzeczce i spódniczce, a potem Matthew, w mokrym podkoszulku i szortach.

- Obetrzyjcie się trochę ręcznikami i natychmiast biegnijcie do pokoju, żeby się przebrać w coś suchego - polecił dzieciakom.

Po chwili już ich w łazience nie było.

- No, a teraz kolej na panią, panno O'Connell! - zwrócił się z filuternym uśmiechem do Erin, kiedy zostali tylko we dwoje.

Poczuła się nagle niesamowicie skrępowana.

Przecież w cienkiej, kompletnie mokrej sukience będzie wyglądała prawie jak goła, kiedy wyjdę z tej wanny, pomyślała z przerażeniem, kryjąc się w pianie aż po podbródek. No, ale mimo wszystko muszę jakoś wyjść! - doszła do wniosku po krótkiej chwili zastanowienia. Muszę wyjść z wanny i jak najszybciej stąd zniknąć. I to, zanim zjawi się Caroline.

- Ja... sama... - wykrztusiła.

- Coś ty, pomogę ci! - zaproponował Mike.

- Nie trzeba. Nie chcę!

- Ale ja mam ochotę!

- Mike, proszę...

- Proszę o spokój, panno O'Connell - uciał dyskusję Mike McTavish.

Podszedł do wanny, nachylił się, zanurzył ręce w gęstej pianie i chwycił Erin pod boki. Po czym bez szczególnego wysiłku uniósł ją w górę, otrząsnął trochę z wody i postawił na podłogę.

- I po co to wszystko było, panno O'Connell? - zapytał, spoglądając impertynenckim wzrokiem, jak Erin obciąga sukienkę i rozpaczliwie stara się zrobić coś, by cieniutka zielona tkanina nie przylegała tak ściśle do jej ciała. - Dla niepoznaki?

- Nie rozumiem... - mruknęła.

- Naprawdę?

- Mike, ja muszę już iść.

- Nie wiem, czy mogę ci na to pozwolić. Może raczej powinienem cię zaaresztować i zmusić... hm... do upieczenia dla mnie nowego urodzinowego tortu?

- Równie dobrze mógłbyś kazać upiec tort swoim psom! Przecież to one go zjadły.

- Racja. Ale nie sądzę, by wyniosły go sobie same z domu na podwórko.

- Kto wie, są przecież nieźle wytresowane - broniła się Erin.

- To prawda - przytaknął Mike. - Są tak doskonale wytresowane, że bezbłędnie reagują na gwizd. A na krótko przed tym, zanim zaczęły się raczyć na podwórku moim urodzinowym tortem, ktoś właśnie na nie zagwizdał. Sam słyszałem, na własne uszy. I mam wrażenie, że rozpoznałem ten gwizd, panno O'Connell.

- Może to gwizdał jakiś ptak?

- Jeśli ptak - powiedział z leciutkim, zabarwionym ironią uśmiechem Mike McTavish - to chyba jakiś egzotyczny! Odgłosy miejscowego ptactwa moje psy znają doskonale i na pewno nie dałyby się na nie nabrać. Ten ptaszek

musiał przylecieć z daleka, z innego kontynentu, z innej półkuli. Przyleciał i od razu narobił niesamowitego zamieszania w moim życiu.

Mike nagle bardzo spoważniał, wypowiadając to ostatnie zdanie. Przestał przyglądać się oblepionym mokrą tkaniną kobiecym krągłościom i wypukłościom Erin. Spojrzał jej prosto w oczy.

Wytrzymała jego spojrzenie, nie opuściła wzroku.

- Nie przejmuj się aż tak bardzo tym tortem - powiedziała stłumionym i drżącym lekko z emocji głosem. - Twoja Caroline upiecze ci drugi, jeszcze lepszy, jak będziesz grzeczny i ładnie ją poprosisz.

- Caroline piecze doskonale torty, to prawda, ale ty, Erin...

- Ja muszę już iść, Mike! Dziadek na pewno jest zmęczony i chciałby wracać do domu. Bądź łaskaw mu powiedzieć, żeby poszedł do samochodu. I nie zatrzymuj mnie, proszę, bo przecież taka mokra nie wrócę do twoich gości... ani nie pójdę do kuchni, żeby ci upiec nowy tort. Dzięki za cudowne przyjęcie, ale już muszę zniknąć!

Erin wybiegła z łazienki do pokoju bliźniaków. Laura i Matt, już przebrani w suche rzeczy, siedzieli na jednym z łóżek i coś tam sobie szeptali.

- Trzymajcie się, dzieciaki - rzuciła w ich stronę i podeszła do otwartego okna.

- Co ty robisz, dziewczyno?! - krzyknął od drzwi łazienki Mike.

- Wychodzę.

- Tędy?

- Tędy, którą przyszedłam. Poza tym, nie chcę nakapać na schodach. I tak macie dość sprzątanania tu w pokoju i w łazience. Cześć!

Skinęła na pożegnanie ręką bliźniakom i ich wujkowi.

W sekundę później była już za oknem, na gałęzi rozłożystego wiąz. Zanim minęła minuta, zsunęła się z wysokości drugiego piętra na dziedziniec i wybiegła za bramę, by skryć się w zaparkowanej tam furgonetce.



Mike zbiegł na dół po schodach, odszukał wśród urodzinowych gości starego Jacka O'Connella i powiadomił go dyskretnie, że wnuczka czeka w samochodzie. A potem wrócił na drugie piętro i razem z bliźniakami w pośpiechu wysprzątał łazienkę.

Kiedy po kilkunastu minutach zjawił się znowu w salonie, goście zaczęli się już powoli żegnać. Niebawem rozjechali się wszyscy. Została tylko występująca w roli gospodyni Caroline Podger.

- Zadowolony jesteś z urodzinowego przyjęcia? - zapytała Mike'a.

- Oczywiście, kochanie - odpowiedział. - Jestem bardzo zadowolony i jestem ci bardzo wdzięczny, że tak starannie wszystko przygotowałaś.

- Przygotowałam wszystko, nawet urodzinowy tort! - mruknęła zgryźliwie Caroline. - Niestety, musisz uwierzyć mi na słowo, że był naprawdę udany.

- Ależ wierzę ci, kochanie, wierzę - zapewnił skwapliwie Mike.

- Myślałam, że się wścieknę, jak zobaczyłam, co się z nim stało!

- Co się stało, to się nie odstanie, nie denerwuj się niepotrzebnie.

- Trochę mi przeszło do tej pory, ale naprawdę uspokoję się dopiero wtedy, kiedy przeprowadzę śledztwo i wykryję, kto przez niedbalstwo nie domknął drzwi od kuchni i wpuścił tam psy - syknęła Caroline. - Potrączę z pensji za ten zmarnowany tort!

- Myślisz, że któryś z pracowników farmy to zrobił? - rzucił Mike, zastanawiając się równocześnie, czy kiedykolwiek upoważniał Caroline do zajmowania się pensjami jego ludzi.

- A któżby inny? Przecież chyba nie dzieciaki...

- Oczywiście, że nie! - pośpiesznie zapewnił narzeczoną Mike. - Dzieciaki śpią jak aniołki.

- Skąd wiesz? - spytała podejrzliwym trochę tonem Caroline.

- Zaglądałem do nich dyskretnie jakiś czas temu, mniej więcej kwadrans po czwartej.

- Zostawiłeś gości i poszedłeś sobie na górę?

- Wpadłem do Laury i Matta tylko na chwileczkę.  
- Po co?  
- Bo pomyślałem, że może jest im smutno.  
- Smutno? A niby dlaczego?  
- Wynudzili się w czasie obiadu, a musieli pójść do łóżek akurat wtedy, kiedy w planie był tort.

- No i co wielkiego? - fuknęła Caroline. - My, dorośli, mieliśmy w planie tort, a Laura i Matthew spanie. Wychowując dzieci, mój drogi, trzeba ściśle przestrzegać stałego porządku dnia - stwierdziła mentorskim tonem. - To je znakomicie wdraża do dyscypliny.

Mike pokiwał głową.

Nie był wprawdzie do końca pewien, czy jego narzeczona ma stuprocentową rację, ale nie chciał w tym akurat momencie podejmować z nią dyskusji.

Mruknął więc tylko, zmieniając temat:

- Wiesz co, kochanie? Jakoś jestem zmęczony tym urodzinowym przyjęciem, pójdę się trochę przejść, jeśli pozwolisz.

- Idź, idź, Mike, ja już tutaj wszystkiego dopilnuję - odpowiedziała Caroline. I dodała po chwili: - Przecież dzisiaj jest twoje święto, więc możesz robić wszystko, na co tylko masz ochotę.

Gdybym naprawdę mógł robić to, na co mam ochotę, wybrałbym się w odwiedziny do Erin O'Connell - myślał Mike McTavish, wędrując polną drogą w towarzystwie swoich owczarków collie.

Objedzone urodzinowym tortem psy wlokły się powoli, noga za nogą.

Ich pan również nigdzie się nie śpieszył. Jakoś nie miał ochoty zbyt szybko wracać do domu, w którym sprawowała w tej chwili rządy apodyktyczna narzeczona. Wolał iść przed siebie bez celu i przypominać sobie wydarzenia minionego dnia, dnia jego trzydziestych urodzin.

Ta niesamowita historia z tortem!

Mike nie znał szczegółów, ale był niemal pewien, że to Laura i Matt przy nim manipulowali i coś koniec końców zbroili.

I pewnie okropnie się przy okazji wyplamili - snuł domysły - więc Erin, dla zatarcia śladów, urządziła im tę kąpiel w ubraniach. A wcześniej rzuciła urodzinowy wypiek psom na pożarcie.

- Niesamowite pomysły ma ta dziewczyna! - mruknął Mike z cicha sam do siebie, kręcąc z podziwem głową. - Pewnie dlatego dzieciaki ją tak uwielbiają.

Natomiast Caroline nie cierpią, dodał już w myślach. Słuchają jej, bo czują przed nią respekt, ale nie lubią jej ani trochę. Nie znoszą tego drylu, jaki stara się im narzucić.

- Czy tylko im? - mruknął półgłosem Mike.

Przecież ona próbuje rządzić na mojej farmie wszystkim i wszystkimi! - uświadomił sobie nieoczekiwanie to, czego nie był jakoś świadom przez trzy dotychczasowe miesiące narzeczeństwa. Chciałaby wydawać polecenia moim ludziom, moim psom, mnie. Najchętniej podpowiadałaby mi bez przerwy, co mam robić, jak się ubierać, kogo zapraszać. Narzucałaby mi swoje zdanie w każdej sprawie!

- A właściwie, to dlaczego? - postawił sobie zasadnicze pytanie.

Czyżby dla zaspokojenia własnych przywódczych ambicji? - zastanawiał się, próbując sformułować odpowiedź. A może jednak dla mojego dobra, dla mojej wygody? I dla dobra dzieciaków, które powinny wyrosnąć na porządnym, zdyscyplinowanym ludzi?

Był w rozterce.

Nie potrafił jednoznacznie ocenić Caroline Podger, nie potrafił do końca rozszyfrować ani jej intencji, ani jej zamiarów.

Wiedział jedno - bardzo mu pomogła w momencie, kiedy obarczony nagłą opieką nad dwójką osieroconych sześciolatków, całkowicie stracił głowę i wpadł po prostu w panikę.

Caroline, z którą wcześniej łączyła go jedynie luźna znajomość, zjawiała się wówczas przy nim i przejęła od niego w znacznej części codzienne wychowawcze obowiązki.

Odczuł ogromną ulgę, bo przecież zupełnie nie miał pojęcia, co robić z dziećmi, jak sprawić, żeby nie płakały, żeby jadły, ile trzeba, żeby spały, kiedy trzeba, żeby były grzeczne, żeby chciały się myć, żeby utrzymywały wokół siebie jaki taki porządek.

On nie wiedział nic, natomiast Caroline Podger wiedziała wszystko.

I umiała sobie jakoś poradzić z dziećmiakami.

Był jej za to wdzięczny, ogromnie wdzięczny! I chyba przede wszystkim z tej wdzięczności któregoś dnia... po prostu się jej oświadczył.

Z wdzięczności za wybawienie go z kłopotów.

I może jeszcze z wygodnictwa.

Oświadczył się Caroline, żeby nie myśleć o domowych sprawach, z którymi, jako dobiegający już trzydziestki kawaler, nie radził sobie najlepiej. Żeby spokojnie zajmować się wyłącznie tym, na czym się znał i co lubił: gospodarowaniem na farmie.

Oświadczyzny zostały przyjęte.

I Mike McTavish zaczął się powoli przyzwyczajać do myśli, że niebawem pożegna się z kawalerskim stanem.

Przez wiele lat nie śpieszył się do ołtarza, bowiem uważał, że ożenek oznacza dla mężczyzny utratę wolności. Kiedy jednak, nie będąc mężem, stał się z konieczności zastępczym ojcem, i to od razu dwójki dzieci, uznał ożenek za wyzwolenie. I za konieczność.

„Przecież żaden samotny mężczyzna nie da sobie rady z wychowaniem sześcioletnich bliźniąt, jeśli nie znajdzie kobiety, która będzie tym jego dzieciakom w odpowiedni sposób matkowała!” - argumentował w burzliwych dyskusjach z samym sobą.

I znalazł dzieciom zastępczą matkę w osobie Caroline Podger.

Znalazł, choć tak naprawdę to nie musiał nawet jej szukać. Przecież sama zjawiała się w odpowiednim momencie na jego farmie, w jego domu.

W gruncie rzeczy więc, decyzja Mike'a o zaproponowaniu Caroline małżeństwa nie była niczym więcej, jak tylko mechaniczną konsekwencją poczynionego przez nią pierwszego, przełomowego kroku.

- Wygląda na to, McTavish, że żenisz się trochę z konieczności i trochę z rozpędu - stwierdził ironicznym tonem.

Chwileczkę, a co z uczuciem? - postawił sobie w duchu pytanie.

Pomyślał przez chwilę i w końcu machnął ręką.

- Czy można zapłonąć uczuciem do żandarma w spódnicy? No, chyba nie - mruknął z rezygnacją.

A czy można - zaczął rozmyślać - zakochać się w kobiecie, która oporządza konie, naprawia płoty, wspina się po drzewach, karmi tortem psy i kąpie się z dziećmi w ubraniu? No cóż, chyba tak... - stwierdził w duchu, wciąż mając przed oczyma kuszący obraz otulonej jedynie cieniutką, mokrą tkaniną Erin O'Connell.

- Ale ożenić się z nią nie sposób! - dodał już na głos.

Po czym zrobił w tył zwrot i energicznym krokiem wrócił do domu i do Caroline Podger.

## *ROZDZIAŁ SIÓDMY*

Po niedzieli pogoda zrobiła się wprost idealna na sianokosy.

Jak przystało na schyłek australijskiego lata, było upalnie, słonecznie i bezwietrznie, a prognozy radiowych meteorologów nie przewidywały żadnych zmian co najmniej do końca tygodnia.

Mike McTavish zawiadomił więc Erin O'Connell, że razem ze swoim pracownikiem, Danem Johnsonem, zajmie się - nie odkładając tej pracy na później - zbiorem siana na farmie jej dziadka.

Przyjechali dwoma nowoczesnymi ciągnikami, wyposażonymi w odpowiedni rolniczy osprzęt. Sfatygowany traktor i rachityczna kosiarka starego Jacka O'Connella prezentowały się przy tych imponujących machinach niczym eksponaty z muzeum rolnictwa, by nie powiedzieć wprost - jak rupiecie ze składnicy złomu.

Mike i Dan wjechali jeden za drugim na podwórko i zatrzymali swoje wehikuły na wprost werandy, na której oczekiwała na nich Erin. Dan wyłączył silnik, ale pozostał na siodełku traktora, natomiast Mike zeskokczył na ziemię i podszedł bliżej, żeby się przywitać.

- Witam panią, panno O'Connell! - odezwał się żartobliwym tonem.

- Witam pana, panie McTavish! - odpowiedziała Erin w tym samym stylu.

- Zgodnie z umową przyjechaliśmy i zaraz zabieramy się do roboty - poinformował Mike. - Nie warto marnować takiej wspaniałej pogody, więc będziemy kosić przez cały dzień, aż do wieczora.

- A ja? - zapytała Erin, której zrobiło się nagle szkoda, że będzie musiała tak długo czekać na powrót przystojnego sąsiada.

- Ty przygotuj nam coś smacznego na kolację.

- Ciekawe! - mruknęła z niechęcią Erin i pokręciła głową. - Szczerze mówiąc, wolę kosić, niż gotować.

- Od koszenia to jestem ja i Dan - stwierdził dobitnie Mike. - Ty możesz najwyżej pojechać z nami na łąki i popatrzeć. O ile obiecasz, że nie będziesz przeszkadzała, ma się rozumieć.

Erin wzruszyła ramionami na znak, że bezczynne przyglądanie się sianokosom w najmniejszym stopniu jej nie interesuje.

Po czym zeszła z werandy, wyminęła Mike'a i zbliżyła się do traktora, na którym siedział Dan Johnson.

- Nie masz przypadkiem jakiejś roboty na farmie, Dan? - zapytała.

- Na farmie zawsze się znajdzie coś do zrobienia, proszę pani - odpowiedział. - Ale akurat dzisiaj pracujemy z szefem tutaj.

- Mogłabym cię z powodzeniem zastąpić, jakbyś mi zostawił swój traktor - zauważyła Erin.

Wyraźnie zaskoczony propozycją, Dan Johnson zrobił dość niemądłą minę i zawołał do zbliżającego się szybkim krokiem od strony werandy Mike'a:

- Szefie, niech szef zarządzi, co mam robić, bo panna O'Connell chce, żebym zostawił jej traktor!

- Też coś! - obruszył się Mike. - Miałbyś zostawić traktor i siedzieć tutaj przez cały dzień bez żadnego zajęcia?

- Można posiedzieć, czemu nie? - mruknął Dan, uśmiechając się filuternie. - Ale jakby panna O'Connell pożyczyła mi samochód - dodał natychmiast, spostrzegłszy, że jego pryncypał groźnie marszczy brwi - to wróciłbym na farmę i zajął się czyszczeniem zbiornika na wodę. To dosyć pilna robota, szefie.

- A widzisz, Mike, pilna robota... - podchwyciła skwapliwie Erin.

- Pilna czy nie pilna, ale tu, z sianem, też się trzeba śpieszyć.

- Tutaj ja mogę Dana zastąpić, a tam nie! Mike spojrzał na Erin z ukosa i machnął ręką.

- Ech, na babski upór to chyba nie ma żadnego skutecznego lekarstwa! - stwierdził z rezygnacją. - Zostaw ten traktor, Johnson - polecił Danowi - a sam

wież furgonetkę panny O'Connell, wracaj na farmę i zajmij się zbiornikiem.

Kluczyki, Erin!

- Są w stacyjce.

- Moje też - powiedział Dan i zeskoczył z ciągnika.

- Na pewno sobie pani poradzi? - zapytał Erin, kiedy zajęła już jego miejsce.

- To się dopiero okaże - mruknął Mike, wyręczając ją w odpowiedzi.

- Co, myślisz, że nie dam sobie rady z koszeniem? - odezwała się napastliwym z lekka tonem.

- Myślę, że powinniśmy wziąć się już do roboty, jeśli mamy zamiar do wieczora ją skończyć - uciął dyskusję Mike i wskoczył na siodło swojego traktora.

Pracowali w upale przez kilka godzin i Erin radziła sobie całkiem dobrze. W końcu jednak troszeczkę zmogło ją zmęczenie.

- Czy moglibyśmy pół godzinki odpocząć? - zapytała Mike'a, przekrzykując głośny, basowy warkot dwu potężnych silników.

- Chyba nawet powinniśmy! - odkrzyknął. - Dojedźmy tylko na skraj łąki, do rzeki.

Nad rzeką zatrzymali traktory i zeszli z wysoko umieszczonych siodełek na ziemię.

Erin poczuła, że pod wpływem kilkugodzinnej wibracji silnika i wszystkich innych elementów obsługiwanej maszyny trzęsą jej się nogi.

- Może przysiadzimy na trawie i trochę się pokrzepimy? - zapytał Mike.

- Mam w kabinie, w przenośnej lodówce, kanapki i lemoniadę.

- Chętnie skorzystam, ale najpierw muszę się wykapać - odpowiedziała Erin i pobiegła na sam brzeg.

Ponieważ miała tego dnia na sobie obszerny, męski podkoszulek, długością równy minisukience, pozbyła się śmiało nie tylko butów, ale i dżinsów, po czym wskoczyła do wody.



Zanurkowała głęboko, prawie do dna, rozkoszując się orzeźwiającym chłodem i tajemniczą, niesamowitą wręcz ciszą rzecznej toni.

Po kilku godzinach pracy w upale i hałasie poczuła się tak, jakby przeniesiono ją nagle, za sprawą jakiegoś magicznego zaklęcia, w zupełnie inny świat, w całkiem inny wymiar.

Dość długo zwlekała z wynurzeniem się z głębiny, na tyle długo, że kiedy wypłynęła wreszcie na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza, zaniepokojony Mike McTavish wykrzyknął do niej z brzegu:

- Erin, bój się Boga! Co ty wyprawiasz? Już się denerwowałem, że jakiś wir cię wciągnął czy coś w tym rodzaju.

- Jaki tam wir! - odkrzyknęła.

I spoglądając na monumentalną, atletyczną sylwetkę przystojnego sąsiada, dodała już w myślach: raczej „coś w tym rodzaju”!

Konkretnie co takiego, nie była jeszcze do końca świadoma.

Na pewno chęć odniesienia zwycięstwa w konkurencyjnej walce z Caroline Podger, egoistyczną, wyniosłą i tylko na pokaz nienaganną, w uzurpowanej sobie roli pani domu Mike'a McTavisha.

Na pewno chęć stworzenia sympatycznym, a tak ciężko doświadczonym przez los bliźniakom, Laurze i Matthew, przyjaznego, życzliwego, ciepłego miejsca na ziemi, w którym mogliby swobodnie rozwijać się i dorastać.

Na pewno chęć pozyskania względów atrakcyjnego mężczyzny i przekonania tą drogą całego świata, a przede wszystkim samej siebie, o walorach własnej kobiecości.

Czy również uczucie?

Jeśli tak, to na pewno zdecydowanie inne od pensjonarskiego zauroczenia, jakiemu poddała się przed dziesięciu laty i jakie pielęgnowała w sobie aż do chwili powrotu do Australii i ponownego zetknięcia się z Mike'em McTavishem.

Dojrzałe. Odważniejsze. Bez porównania silniej zabarwione zmysłowością.

Zakłopotana, a nawet lekko przestraszona śmiałością własnych myśli, Erin zanurkowała jeszcze raz.

Gdy po chwili ponownie się wynurzyła, zawołała do Mike'a McTavisha, kusząc go, niczym syrena, rusalka czy inna rzeczna nimfa:

- Chodź do mnie! Wskakuj! Woda jest dzisiaj po prostu cudowna!

Mike najpierw postąpił pół kroku do przodu. Potem zawahał się i stanął w miejscu. Wreszcie, po kilkunastosekundowym namyśle, zdjął buty i koszulę i pozostając w dżinsach, wskoczył do rzeki.

Szybko podpłynął do Erin. Znalazłszy się tuż obok, krzyknął:

- Uważaj!

Po czym nagle objął ją w pól i zanim się zorientowała, co się dzieje, wciągnął siłą pod wodę.

Z uścisku uwolnił ją dopiero, gdy oboje dotarli do piaszczystego dna. Wyskoczyła na powierzchnię gwałtownie niczym korek, on wypłynął zaraz za nią.

- Co ty wyprawiasz! - ofuknęła go pół żartem, pół serio, zaczerpnąwszy powietrza. - Mogłeś mnie utopić!

- Bez przesady! - odpowiedział. - Żeby to zrobić, musiałbym najpierw zwariować, a potem utopić się razem z tobą!

- Żeby być razem, czasem warto zwariować, a nawet pójść na dno i utonąć - mruknęła Erin.

- Byliśmy razem na dnie, ale nie utonęliśmy - przekornym tonem stwierdził Mike.

- Widocznie jesteśmy niezatapiałni.

- A czy to źle?

- Nie sędzę. Chyba dobrze.

Umilkła i popłynęła w kierunku brzegu rzeki. Mike skierował się za nią.

Po chwili oboje wynurzyli się z wody i zaczęli brodzić po piaszczystej płyciźnie: ona w kusym i mokrym podkoszulku, a on w obcisłych, mokrych dżinsach, z odsłoniętym, połyskującym w słońcu niezliczonymi kropelkami wody, wspaniale umięśnionym, przepięknie opalonym, cudownie męskim torse.

- Uprawiasz kulturystykę? - zapytała, spoglądając z wyraźnym zaciekawieniem i trudnym do ukrycia podziwem w jego stronę.

- A dlaczego mnie o to pytasz? - zainteresował się.

- Bo widzę, że masz niezłą sylwetkę.

- Dziękuję za komplement - powiedział Mike. - Ale mam wrażenie - dodał z odrobiną ironii - że grzeczne dziewczynki nie komplementują mężczyzn w ten sposób. No i nie przyglądają się tak uważnie ich muskułom!

- Zawsze warto popatrzeć, jeśli jest na co - mruknęła Erin. - Więc jak to jest, ćwiczysz? - wróciła do zadanego już raz pytania.

- Przerzucając setki bel siana, machając łopatą w ogrodzie, naprawiając płoty na pastwiskach i tak dalej - odpowiedział ze śmiechem.

- Masz przecież pracowników - zauważyła Erin.

- Zatrudniam ludzi, bo muszę, skoro prowadzę taką dużą farmę - wyjaśnił Mike. - Ale sam też nie oszczędzam się w pracy. Czasami haruję po prostu jak wół!

- A musisz?

- Nie muszę, ale lubię. Lubię się zmęczyć, lubię wyładować z pożytkiem nadmiar energii!

- To zupełnie tak samo, jak ja - stwierdziła z odrobiną zadumy Erin.

Wyszli z wody na brzeg.

Mike wspiał się do kabiny swojego traktora i wydobył ze specjalnego schowka przenośną lodówkę w kształcie dużej torby. Przysiedli na nagrzanym przez słońce nadbrzeżnym piasku i zaczęli się posilać schłodzonymi, apetycznymi kanapkami z szynką.

- Sam ją wędziłem! - pochwalił się Mike.

- Jest świetna - przyznała Erin i odgryzła pokaźny kęs podwójnej pajdy chleba, z obłożoną liśćmi sałaty wędliną w środku.

- Widać, że ci smakuje.

- A co? Jem może zanadto łapczywie? - przestraszyła się Erin. .

- Jesz po prostu z apetytem - uspokoił ją Mike. - Zupełnie inaczej niż inne kobiety, z którymi miewam do czynienia - dodał.

- Człowieku, ja widzę, że ciebie otaczają jakieś strasznie dziwne baby!

- Dziwne?

- No, w każdym razie takie, co to udają, że nie interesują się ani trochę męskimi bicepsami i żyją wyłącznie powietrzem.

- Prawie wszystkie panie z towarzystwa, w jakim się obracam, tak właśnie się zachowują.

- Więc widocznie obracasz się w niezbyt ciekawym towarzystwie - mruknęła Erin. - W towarzystwie wyjątkowo obłudnych kobiet - dodała.

Mike nie skomentował tego stwierdzenia. W milczeniu dokończył kanapkę, potem sięgnął po drugą. Na koniec popił posiłek lemoniadą.

Erin również zjadła dwie pajdy chleba z szynką i wypila trzy szklaneczki lemoniady.

A kiedy posiliła się już i zaspokoila pragnienie, wyciągnęła się na gorącym piasku, przymknęła oczy i niemal natychmiast usnęła.

Obudziła się dopiero po godzinie, a właściwie Mike ją obudził, leciutkim głaskaniem po ramieniu.

Zdezorientowana otworzyła oczy i spostrzegła z przerażeniem, że leży na rozgrzanym przez słońce nadrzecznym piasku obok niego, blisko, bardzo blisko, dosłownie na wyciągnięcie ręki.

- Co ty tu robisz? - zapytała trochę bez sensu. Mike uśmiechnął się dobrodusznie.

- Do tej pory odpoczywałem, tak samo jak ty - odpowiedział. - A teraz cię budzę, bo musimy znowu wziąć się do roboty. Chyba że wolisz, żebym sprowadził Dana na popołudnie?

- Nie, nie! - zaproponowała energicznie Erin. - Ja już wstaję i wsiadam na traktor.

- Bez spodni?

Erin spojrzała na swoje gołe nogi, osłonięte podkoszulkiem zaledwie do połowy uda i, zawstydzona, lekko się zarumieniła.

- Ja przecież... - wykrztusiła.

- Wiem, wiem - wszedł jej w słowo Mike. - Masz na sobie T-shirt długi jak sukienka. Ale w sukience trudno chyba prowadzić ciągnik.

- Trudno też pływać.

- Więc trzeba było się rozebrać! - zakpił Mike.

- Ty też mogłeś wykąpać się nago, zamiast w dżinsach - odcięła się Erin.

- Miałem niesamowitą ochotę, ale jakoś zabrakło mi odwagi.

- Tak to przeważnie bywa - stwierdziła z zadumą Erin i pokiwała głową. - Ale są sytuacje, w których warto się przełamać.

- W ten sposób można, zupełnie niechcący, zajść za daleko.

- Czasami warto.

- Naprawdę tak uważasz? Erin nie odpowiedziała.

Przysiadła na piasku i wciągnęła na siebie dżinsy, a potem wstała i skierowała się w stronę traktorów.

Mike ruszył za nią, zapinając po drodze narzuconą na ramiona koszulę.

Dogonił ją, nim zaczęła się wdrapywać na umieszczone wysoko siodelko, i chwycił za rękę.

- Erin... - odezwał się.

- Tak?

Nic nie odpowiedział, tylko chwycił ją za drugą rękę i przyciągnął bliżej do siebie.

- Erin... - wyszeptał.

- Tak? - powtórzyła, pod wpływem emocji z najwyższym trudem wydobywając z siebie głos.

- Czy nie uważasz, że to szaleństwo?

Erin poczuła nagły zawrót głowy, połączony z równoczesnym drżeniem nóg. Miała nieodparte wrażenie, że za chwilę albo zemdleje, albo zwariuje.

Czyli: tak czy inaczej, pograży się wbrew własnej woli w jakąś mroczną czeluść bez dna i nie odpowie Mike'owi na jego pytanie tak, jak powinna!

Jej przekorna, niezależna natura natychmiast zbuntowała się przeciwko takiemu niesprawiedliwemu obrotowi spraw. I z pewnością dlatego pozwoliła Erin pokonać słabość, odzyskać energię, wziąć głęboki oddech i w nieoczekiwanym przyplywie odwagi rzucić Mike'owi prosto w twarz zuchwale pytanie:

- Czy masz może na myśli swoje zaręczyny z Caroline Podger?

Mike uwolnił z uścisku obydwie jej dłonie i niczym bokser na ringu, trafiony celnym ciosem w czuły punkt, odruchowo cofnął się o krok.

- Czy może to, że będąc narzeczonym Caroline, próbujesz mnie obściskować, bo tu nas nikt nie widzi? - dodała Erin napastliwym tonem.

- Mam na myśli to, co my oboje do siebie czujemy - odpowiedział z powagą i spokojem Mike.

- Powiadasz, że my coś do siebie czujemy? - stropiła się Erin, nie wiedząc, czy powinna się z tej wzajemności odczuć cieszyć, czy martwić. - Myślałam, że tylko ja.

- Ja też.

- No więc...

- Więc, co?

- Co z tego wynika?

Mike McTavish opuścił nisko głowę i stwierdził posepnym tonem:

- Nic. Niestety, nic.

- Dlaczego? - ostrym, prokuratorskim niemal tonem zapytała Erin.

- Bo ja nie jestem już wolnym człowiekiem - odpowiedział Mike. - Mam obowiązki, mam zobowiązania.

- Wobec Caroline?

- Również. Ale przede wszystkim wobec bliźniąt, Laury i Matthew. Muszę ich wychować. Muszę ich odpowiednio wychować. A żeby sobie z tym niesamowicie trudnym zadaniem jakoś poradzić, potrzebuję... hm...

- Odpowiedniej kobiety?

- Otóż właśnie - potwierdził Mike, z powagą kiwając głową.

- Jesteś pewien, że akurat Caroline Podger jest taką odpowiednią kobietą?

- Sądzę, że tak. Caroline wie, czego chce, jest osobą dobrze zorganizowaną, konsekwentną, rzeczową, rozsądną, trzeźwo myślącą.

- A może po prostu... wyrachowaną?

- Nieważne, jeśli nawet trochę - stwierdził Mike i machnął lekceważąco ręką.

- A co jest ważne?

- Że wie, jak należy wychować dzieci, żeby można było potem wprowadzić je bez problemów w odpowiednie... hm... - Mike znów się zawahał.

- W odpowiednie kręgi? - podpowiedziała mu Erin.

- Właśnie.

- Nie szkoda ci przypadkiem wychowywać te sympatyczne dzieciaki na nadętych snobów, podobnych kropka w kropkę do Caroline Podger i do tych urodzinowych gości, których ci pospraszają?

Mike McTavish ponownie machnął ręką. Po czym mruknął półgłosem:

- Nieważne.

- A co jest ważne? - powtórzyła zadane już raz pytanie Erin.

- Ważne, że Laura i Matthew będą odpowiednio ustawieni w towarzystwie.

- Zależy ci na tym?

- Szczerze mówiąc, tak sobie. Ale zdaje mi się, że zależałoby na tym mojemu bratu i bratowej. Dlatego właśnie się staram. Dla nich.

- A dla siebie?

- Nieważne! Ja mam farmę, psy, pracę na roli. Mam wszystko, co lubię. Prawie wszystko.

- Dlaczego prawie?

Mike postąpił krok do przodu, całkowicie blokując Erin swobodę ruchów. Cofnąć się nie była w stanie, bo za plecami miała traktor. Mogła jedynie poddać się lub celnym kontratakem zmusić Mike'a do ponownej rejterady.

Zdecydowała się chyba na to drugie wyjście, gdyż powtórzyła śmiało:

- Dlaczego prawie?

Mike pochylił się nad nią tak, jakby zamierzał ją pocałować. Nie zrobił tego jednak, tylko odezwał się stłumionym, schrypniętym lekko z emocji głosem:

- Bo nie mam ciebie, Erin! I już nie mogę mieć! Trochę za późno przyjechałaś do Australii z tej swojej

Ameryki. Gdybyś zjawiała się tu wcześniej, zanim dostałem pod opiekę dwójkę dzieciaków, to kto wie, może pozwolilibyśmy sobie... hm...

- Na romans?

- Właśnie!

- A może nawet na małżeństwo? - prowokacyjnie zapytała Erin.

- Nie sądzę - z rozbijającą wprost szczerością odpowiedział Mike. - Nigdy nie przyszłoby mi do głowy pchać się do ołtarza, gdyby nie odpowiedzialność za dzieci. Zrozum, skoro aż do trzydziestki mogłem być wolnym człowiekiem, pewnie pozostałbym nim nadal i wybrałbym wolny związek. Żadnych zobowiązań, rozumiesz. Sama rozkosz, sama przyjemność.

- Ze mną?

- A czemu nie? Jesteś przecież piekielnie atrakcyjną dziewczyną, Erin, z pewnością potrafiłabyś sprawić mężczyźnie niezłą frajdę.



- Jeśli tylko nie zaczęłabym mu gotować! Cios okazał się celny.

Mike McTavish przerwał swoją tyradę, cofnął się o pół kroku, spojrzął na Erin spod oka i mruknął naburmuszony:

- To ja się tu przed tobą wywnętrzam, a ty się śmiejesz. Dlaczego?

Erin wzruszyła ramionami.

- Cóż, ewentualnie mogłabym się popłakać - powiedziała ironicznym tonem. - Ale nie chcę! Taki już mam charakter, że wolę pokonywać przeszkody raczej ze śmiechem niż z płaczem. Co nie znaczy, że nie jest mi przykro, kiedy ktoś mnie obraża.

- Ja wcale nie chciałem cię obrazić! - zachnął się Mike. - Powiedziałem przecież, że jesteś bardzo atrakcyjną dziewczyną.

- Ale niezdatną do małżeństwa, zwłaszcza z tobą!

- Bo nie umiesz gotować! Musielibyśmy z bliźniakami głodować.

- Albo jedlibyście kanapki! Albo ty nauczyłbyś się w końcu gotować! Myślę, że przyrządzając obiady, potrafiłbyś sprawić kobiecie niezłą frajdę.

- To tu cię boli! - zorientował się Mike. - Słowo „fajda” ci się nie spodobało, tak?

- Uważam, że nie pasuje do rozmowy o uczuciach.

- Ale przecież my rozmawialiśmy...

- O małżeństwie, prawda?

- Nnno... niby tak.

- A ja małżeństwo bez uczucia uważam za absolutnie nic nie warte, wiesz? Być może twoja Caroline Podger, jako osoba rozsądna i trzeźwo myśląca, jest innego zdania na ten temat, ale ja myślę, Mike, że skoro chodzi ci tylko o obiady i opiekę nad dziećmi, to nie powinieneś pchać się do ołtarza, tylko po prostu postarać się o gosposię. Miałbyś sprawę z bliźniakami załatwioną, a mógłbyś pozostać sobie nadal wolnym człowiekiem i romansować do woli!

- Z tobą?

- Nie!

- Dlaczego?

- Bo ja cię kocham, człowieku! - wybuchnęła Erin. - Zadurzyłam się w tobie dziesięć lat temu i przez te dziesięć lat wcale mi nie przeszło, rozumiesz? A odkąd jestem tu, w Australii, mój stan jeszcze się pogorszył... - dodała już ciszej i spokojniej.

- Piękna historia! - mruknął Mike.

- Beznadziejna historia! - zirytowała się Erin. - Idiotyczna pensjonarska miłość, zupełnie bez sensu! Ale chciałam, żebyś się dowiedział... zanim poślubisz tę wspaniałą Caroline... której nie kochasz... i przez którą... nie jesteś kochany.

Łamiący się z nadmiaru emocji głos Erin w końcu zupełnie odmówił jej posłuszeństwa.

Umilkła.

Opuściła z rezygnacją głowę i przymknęła oczy, by Mike McTavish nie spostrzegł połyskujących w nich łez.

Stała w bezruchu i w napięciu liczyła, jak upływają sekundy: jedna, druga, trzecia...

Nagle zorientowała się, nie otwierając oczu, że Mike robi pół kroku do przodu, że pokonuje w ten sposób minimalny dystans, który ich dotąd rozdzielał, że jest już blisko, bardzo blisko, że bierze ją w ramiona, że całuje ją w usta...

Zdawała sobie doskonale sprawę, że powinna go w tym momencie odepchnąć, powinna mu się wyrwać, powinna przed nim uciec!

Nie zrobiła tego jednak.

Poddała się magicznemu urokowi niezwyklej chwili, poddała się magicznemu urokowi niezwykłego mężczyzny, o którym marzyła i śniła przez długich dziesięć lat.

Zarzuciła Mike'owi ręce na szyję, by przyciągnąć go mocniej do siebie i rozchyliła wargi, by jego pocałunek mógł się pogłębić.

Była w tym momencie gotowa już chyba na wszystko.

Tymczasem Mike, kiedy minęła krótka chwila zapomnienia, niespodziewanie oderwał usta od jej warg, zdecydowanie, niemal siłą uwolnił się z jej objęć i z powrotem cofnął się o pół kroku.

I wypowiedział jedno tylko słowo:

- Przepraszam.

Erin poczuła, że ogarnia ją wściekłość.

- I za co przepraszasz, paniczu? - syknęła. - Pewnie za to, że kiedy nikt nie widział, skradłeś całusa ubogiej, prostej dziewczynie, która nie uczyła się gotowania w Paryżu, tak?

Mike nie odpowiedział.

W milczeniu podszedł do swojego traktora i wspiął się na siodełko. Dopiero stamtąd, z góry, krzyknął:

- Szkoda czasu na takie bezsensowne gadanie! Lepiej już bierzmy się do roboty!

I żeby nie słyszeć ewentualnej repliki, uruchomił hałaśliwy silnik.

Erin spojrzała na niego z ukosa i wzruszyła ramionami. Po chwili wahania sama również wspięła się na ciągnik i włączyła jego potężny motor.

Pracowali aż do wieczora, kosząc trawę na dwu przeciwległych krańcach łąki. A kiedy zegnali się zdawkowo po odprowadzeniu traktorów na farmę Mike'a, Erin była niemal pewna, że zegnają się już na zawsze.

## *ROZDZIAŁ ÓSMY*

Po trzech dniach spotkali się jednak znowu, ponieważ nadszedł czas, by zwieźć z łąki przesuszone już i sprasowane w kłoc siano.

Mike przystąpił do tej pracy wraz z trzema swoimi ludźmi. Ponieważ Erin nadzorowała w stodole rozładunek siana, on zajął się załadunkiem i przez cały dzień pozostawał na łące, nie pokazując się bodaj na chwilę na farmie starego Jacka O'Connella.

Dopiero pod wieczór, kiedy kłoc sięgały już niemal pod krokiew stodoły, przyjechał osobiście, holując ciągnikiem ostatnią przyczepę.

- Czy ten ładunek jeszcze się tu gdzieś zmieści, panno O'Connell?! - krzyknął do Erin, która stała wysoko na ułożonych jedna na drugiej warstwach siana, niczym statua na cokole i spoglądała na niego z góry dość wyniośle.

- Zmieści się, panie McTavish! - odkrzyknęła. - Proszę podawać, ja będę odbierała.

Robota, mimo zastosowania mechanicznego podnośnika, była dość ciężka, jednak pracowali oboje z taką zawziętością, że wykonali ją bardzo szybko, mniej więcej w kwadrans.

Erin właśnie rozlokowała ostatnie kłoc na szczycie wypełniającej sasek piramidy siana i już miała zamiar schodzić na dół, kiedy Mike niespodziewanie zjawił się obok niej.

- Chciało ci się jeszcze tu wspinać? - mruknęła zdziwiona.

- Też chciałem popatrzeć z góry na efekty całej tej naszej dzisiejszej zabawy w klocki - wyjaśnił pół żartem, pół serio.

- Efekty są imponujące, stodoła niemal pęka w szwach! - stwierdziła Erin z entuzjazmem, którego nie było w stanie przytłumić nawet ogromne zmęczenie i niechęć do rozmowy z Mike'em McTavishem.

- Jest w niej w tej chwili ni mniej, ni więcej, tylko dwa tysiące klocków siana.

- Aż tyle?

- A jakże! - przytaknął Mike. - Odwaliłaś tu w pojedynkę ogromną robotę przy rozładunku! - dodał z nie skrywanym podziwem.

- Ty też piekielnie się napracowałeś - stwierdziła Erin.

- Jestem ci niesamowicie wdzięczna... oboje z dziadkiem jesteśmy...

- Bez przesady z tą wdzięcznością, panno O'Connell! - Mike McTavish lekceważąco machnął ręką. - Wypełniłem tylko warunki naszej umowy.

Dzieciaki uczą się jeździć konno i mają z tego powodu wielką uciechę, więc ja chętnie zająłem się sianem. Można powiedzieć, że wykreciłem się tym sianem, zamiast pomyśleć o właściwym honorarium za lekcje! - zażartował.

Erin uśmiechnęła się trochę cierpko.

- Widzę, że humor ci dopisuje - zauważyła.

- A tobie nie?

- To zależy. Przy układaniu siana było mi całkiem wesoło, teraz zrobiło mi się trochę smutniej.

- Czyżby dlatego, że nadeszła pora gotowania kolacji? - zapytał Mike kpiącym tonem.

- No, powiedzmy... - dyplomatycznie odpowiedziała Erin.

- Właściwie to jestem głodny. Może poczęstowałabyś mnie czymkolwiek?

- Taki z ciebie ryzykant?

- Czasami.

- Właśnie!

- Co, właśnie? - Mike'owi zdecydowanie nie spodobał się ironiczny ton Erin.

- Nic! - fuknęła. - Właśnie zamierzam zejść na dół i zająć się gotowaniem.

- Zaczekaj jeszcze chwilę, pogadajmy.

- Nie mogę.

- Erin!

Chwycił ją za rękę, lecz ona mu ją wyszarpnęła.

- Erin, ja przecież...

Mike McTavish nie dokończył rozpoczętego zdania, ponieważ z dołu, od strony wejścia do stodoły, rozległo się nagle dość głośne nawoływanie.

Przenikliwe dziecięce głosiki, bez wątplenia należące do Laury i Matthew, skandowały w zgodnym dwugłosie:

- E-rin! Mi-ke! Gdzie jes-teś-cie?

- Jesteśmy tu, na górze! - zawołała Erin, zadowolona, że ktoś wreszcie przerwał jej kłopotliwe sam na sam z sąsiadem.

- A wy, co robicie tam na dole?! - krzyknął Mike, wściekły z tego samego powodu.

- Poprosiliśmy Dana Johnsona, żeby nas tutaj podrzucił, jak już jechał po jakiś tam sprzęt do zbioru siana - wyjaśniła Laura.

- Bo nam się w domu straszliwie nudziło z ciocią Caroline! - dodał Matthew.

- Nie będzie wam przeszkadzało, jak też wejdziemy tam na górę? - zapytała grzecznie Laura.

- Jasne, że nie! - odpowiedziała Erin.

- Tylko bądźcie ostrożni przy wchodzeniu! - przestrzegł dzieci Mike tonem wciąż zasadniczym, lecz znacznie już łagodniejszym niż przed chwilą.

Dzieciaki wspięły się na szczyt ułożonej ze złocistych kłoców piramidy wyjątkowo szybko. Trochę zdyszane, lecz bardzo zadowolone z dokonanego wyczynu, przysiadły na sianie obok Erin i Mike'a.

- Jak tu ładnie, w tej stodole - zachwycił się Matt.

- Można by tu nawet zamieszkać!

- Zamieszkamy tutaj, wujku? - zapytała Laura.

- No, gdzież tam! - obruszył się Mike. - Przecież mamy gdzie mieszkać. Mamy przecież swój dom.

- To co teraz będziemy robić, wujku?
- Pojedziecie do domu na kolację - wyreczyła Mike'a w odpowiedzi Erin.
- Traktorem? - zainteresował się Matt. - Powiedz, wujku! Traktorem?
- Na to wychodzi - przytaknął Mike.
- A kiedy?
- Zaraz! - palnęła bez zastanowienia Erin.

Mike spojrzał jej prosto w oczy i wycedził:

- Naprawdę, panno O'Connell?

Zmieszała się w widoczny sposób, ale wytrzymała jego przenikliwe spojrzenie.

- Naprawdę, panie McTavish - odpowiedziała. - Chociaż za pomoc przy sianokosach jestem ogromnie wdzięczna, wolałabym się już pożegnać. Mam mnóstwo roboty w domu, a zrobiło się dość późno.

W niecały kwadrans później Mike McTavish jechał już z dziećmi traktorem w kierunku swojej farmy, a Erin krzątała się trochę nerwowo po staromodnie urządzonej kuchni Jacka O'Connella.

A właśnie, że umiem gotować! - powtarzała w myślach dla dodania sobie otuchy. Umiem! Udowodnię całemu światu, że umiem!

W ogromnym skupieniu, korzystając z książki kucharskiej, przygotowała zapiekanekę z tuńczyka i sałatkę.

Na oko obydwie potrawy wyglądały całkiem apetycznie, gdy ustawiła je w półmiskach na kuchennym stole. Ostrożnie skosztowała więc jednej i drugiej. Stwierdziła z miłym zdziwieniem, że są naprawdę smaczne.

- Do licha! - mruknęła półgłosem sama do siebie. - Ja faktycznie umiem gotować! Tylko muszę się skupić.

W tym momencie drzwi kuchni otworzył dziadek Jack, który przez niemal cały dzień doglądał na łące załadunku siana.

Stanął w progu i pociągnął nosem. Zdziwiony, że nie czuje, jak zazwyczaj, swędu spalenizny, odezwał się z lekkim niedowierzaniem:

- Czy mi się zdaje, czy coś tu apetycznie pachnie? Erin spiorunowała go wzrokiem.

- Wiadomo, że pachnie - mruknęła. - Przecież przygotowałam kolację.

- Wspaniale, moja mała! - powiedział z uśmiechem starszy pan, sadowiąc się za stołem.

- Jak widzisz, umiem gotować - pochwaliła się Erin.

- A czy ja kiedyś ci powiedziałem, że nie? Ciężko westchnęła i pokręciła przecząco głową.

- Faktycznie, nigdy nic nie mówiłeś, dziadku - przyznała. - Ale jak wczoraj przypaliłam kotlety, to miałeś raczej nietęgą minę.

- Wydawało ci się, moja mała. Zresztą te kotlety wcale nie były takie najgorsze, wiesz? Psom aż się przy nich uszy trzęsły.

- Dałeś psom moje kotlety? - obruszyła się Erin. - A mówiłeś, że dadzą się zjeść!

- Wiesz, odkroilem im po takim malutkim kawałeczku, tylko z tej bardziej przypalonej strony - zaczął trochę wykrętnie wyjaśniać starszy pan, spoglądając równocześnie na wnuczkę wybitnie łobuzerskim wzrokiem. - Te kotlety były przecież bardzo duże.

- Bo je z rozmachu za mocno ubiłam! Zrobiły się za cienkie i pewnie dlatego spaliły się na wskroś. I wcale nie nadawały się do zjedzenia - przyznała ze skruchą i łezką w oku.

- Nie przejmuj się, moja mała. Dzisiejsza zapiekanka jest pyszna - pocieszył ją dziadek.

- Umiem gotować! - z dziecięcym uporem po raz kolejny powtórzyła Erin.

- Oczywiście, że tak.

- Wiesz co, dziadku? Nauczę się gotować lepiej od Caroline Podger!

Jack O'Connell podniósł wzrok znad talerza i z troską spojrzął na wnuczkę.



- Bez przesady, moja mała - powiedział łagodnym tonem. - Ta cała Caroline Podger umie pewnie tylko gotować, jak prawie każda baba, a ty radzisz sobie w życiu doskonale z mnóstwem znacznie trudniejszych rzeczy. Niejeden mężczyzna mógłby ci pozazdrościć.

- Właśnie, niejeden mężczyzna - mruknęła zgryźliwie nachmurzona mocno Erin. - Jako stajenny, pastuch, parobek, traktorzysta jestem świetna. Niestety, w kobiecych rolach wypadam bez porównania gorzej.

- Ojoj, moja mała! - odezwał się dziadek, z zaniepokojeniem kręcąc głową. - Coś mi się zdaje, że jeszcze nie całkiem ci przeszło pensjonarskie zadurzenie w jakimś Mike'u McTavishu.

Erin ani nie potwierdziła, ani nie zaprzeczyła, tylko wzruszyła w milczeniu ramionami.

Jack O'Connell podniósł się od stołu, podszedł do staromodnego kuchennego kredensu, wydobyl z jednej z jego licznych szufladek jakąś kopertę i podał ją Erin.

- Co to jest, dziadku? - zapytała, bojąc się zajrzeć do środka.

- Zaproszenie.

- Jakie zaproszenie?

- Zaproszenie na ślub.

- Na czyj ślub?

- Sama zobacz.

- Ech, nawet nie muszę.

Erin drżącymi ze zdenerwowania rękoma wyjęła jednak z koperty elegancki, ozdobny arkusik kredowego papieru ze starannie wykaligrafowanym tekstem: „Caroline Alison Podger i Michael Lyon McTavish mają zaszczyt zaprosić Szanownych Państwa...”

- Pójdziemy, dziadku? - wykrztusiła, z najwyższym trudem tłumiąc łzy.

- Powinniśmy pójść, jako sąsiedzi, chociaż wcale mi się to nie uśmiecha, szczerze mówiąc - odparł posepnie starszy pan.

- Dlaczego?

- Jak znam Podgerów, zapowiada się drętwa impreza. Zamiast prawdziwej zabawy, jakiś snobistyczny wersal, jak wtedy, w urodziny Mike'a. Do licha! Stary już jestem, ale za nic w świecie nie chciałbym mieć takich drętych urodzin, jak ten biedny chłopak.

- A jakie byś chciał? - zapytała Erin, starając się skupić uwagę na czymkolwiek innym niż ślub Mike'a McTavisha z Caroline Podger.

- Ba! - westchnął dziadek. - Takie, jak się dawniej urządzało. Z rozmachem, z fasonem, na wesoło.

- To je urządzmy!

- Naprawdę masz ochotę?

- Jasne! Tylko kiedy one wypadają?

- Za dwa tygodnie.

- Już za dwa?

- Tak się składa, moja mała - potwierdził z zadumą starszy pan. - Za dwa tygodnie twój dziadek kończy osiemdziesiąt lat.

- Już osiemdziesiąt?

- Ni mniej, ni więcej.

- Okrągła rocznica!

- Otóż to! Warto urządzić porządne przyjęcie, bo następne, jakie mi wyprawisz, to już pewnie będzie konsolacja.

- Dziadku, dlaczego...

- Nieważne! - machnął ręką starszy pan. - Co ma być to i tak będzie, więc zamiast się nad tym niepotrzebnie zastanawiać, lepiej skupmy się teraz na liście moich urodzinowych gości.

- Racja! Kogo zapraszasz?

- Hm. Chciałbym chyba zaprosić... Po pierwsze, moich starych kumpli od krykieta - zaczął wyliczać na palcach Jack O'Connell. - Po drugie, kolegów z

ligi weteranów wojennych. Po trzecie, parafian z naszego kościoła. Po czwarte, najbliższych sąsiadów. Wszystkich z całymi rodzinami, ma się rozumieć.

- Ależ, dziadku, to będzie setka osób albo i więcej! - wykrzyknęła Erin.

- Nic nie szkodzi! - stwierdził z błyskiem w oku starszy pan.

- Czyżby? A wydatki?

- Mam trochę pieniędzy, odłożonych na czarną godzinę, więc będzie czym opędzić wydatki na jedło i napitek. A ze zorganizowaniem wszystkiego ty na pewno sobie poradzisz, moja mała, nie mam najmniejszych wątpliwości.

Wiesz, osiemdziesiątka to nie byle co, więc chyba warto się wysilić! Skoro potem już tylko konsolacja...

- Dziadku, jak znam swoje szczęście, to dożyjesz co najmniej do setki i ja odtąd co roku będę musiała przyjmować w tym domu setkę gości.

- Co daj Panie Boże, amen! - zakończył dyskusję Jack O'Connell.

## *ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY*

Przygotowanie dla dziadka przyjęcia urodzinowego na setkę osób kosztowało Erin mnóstwo wysiłku i zajęło jej całe czternaście dni, jakie miała do dyspozycji.

Nie narzekała jednak z tego powodu ani trochę. Nadmiar pracy pozwalał jej bowiem zapomnieć - chociażby chwilowo - o nadciągającej nieuchronnie życiowej katastrofie, czyli o ślubie Mike'a McTavisha z Caroline Podger, który miał się odbyć dokładnie w miesiąc po osiemdziesiątych urodzinach Jacka O'Connella.

Mike i Caroline, wraz z Laurą i Matthew, zostali oczywiście zaproszeni przez dziadka Jacka na jego jubileusz. Dzieciaki tak się emocjonowały z tego powodu, że w dniu przyjęcia zjawily się na farmie O'Connellów już wczesnym rankiem.

- Nie mogliśmy wytrzymać w domu z niecierpliwości, więc poprosiliśmy Dana Johnsona, żeby nas tu podrzucił - wyjaśniła Laura.

- Dan przed dwunastą z powrotem nas zabierze, żebyśmy mogli się przebrać, bo teraz nie jesteśmy jeszcze ubrani wyjściowo, tylko zwyczajnie - stwierdził Matt.

- No, bo my przecież przyjechaliśmy tutaj do pomocy, a nie na żadną tam inspekcję, jak powiedziała ciocia! - dodała Laura.

- Wspaniale, na pewno mi się przydadacie - stwierdziła z powagą Erin, pomijając dyplomatycznym milczeniem złośliwość Caroline. - Zaniesiemy razem nad rzekę dziesięć bezowych tortów, które przygotowałam dziadkowi na urodzinowe przyjęcie.

- To przyjęcie nie odbędzie się w domu? - zdziwiła się Laura.

- Ani w ogrodzie? - dorzucił swoje pytanie Matt.

Erin uśmiechnęła się filuternie i przecząco pokręciła głową.

- W domu jest za ciasno, a w zaniedbanym ogrodzie za brzydko - wyjaśniła. - Dlatego urodzinowi goście dziadka będą się bawili nad rzeką.

Przyjęcie okazało się ogromnym towarzyskim sukcesem Erin i Jacka O'Connellów.

Licznie zgromadzonym gościom podobało się wszystko: udekorowane mnóstwem baloników nadrzeczne drzewa i krzewy, przygotowane specjalnie dla urodzinowych biesiadników drewniane stoły i ławy, zbita z desek podłoga do tańca, amatorski zespół muzyczny, dziarsko przygrywający w stylu country.

I wszystko im smakowało: pieczone na ruszcie nad ogniskiem befsztyki i szaszłyki, jarzynowe i owocowe sałatki, które mogli sobie w dowolny sposób komponować z wystawionych na stoły w wielkich misach produktów, piwo prosto z beczki, zimny poncz i oczywiście bezowe torty Erin, przybrane bitą śmietaną i truskawkami.

Spośród setki osób, jedna chyba tylko Caroline Podger nie była zachwycona poczęstunkiem.

- Czego się napijecie? - zapytała ją i Mike'a bezpośrednio po wymianie powitalnych uprzejmości Erin, pełniąca z werwą obowiązki gospodyni przyjęcia. - Proponuję piwo lub poncz.

- Poncz z alkoholem? - podjęła szczegółową indagację Caroline.

- Bezalkoholowy - odpowiedziała Erin. - Taki zrobiłam ze względu na dzieciaki, których zebrało się całkiem sporo, no i ze względu na dzisiejszy upał.

- To nie wiem, jak Michael, ale ja napiję się raczej wody.

- Proszę bardzo - odparła z uśmiechem Erin, podając Caroline... pusty kubek. - Woda jest w rzece - wyjaśniła. - Czyściutka, jak łąka, nie ma potrzeby filtrować, wystarczy tylko nabrać tam, gdzie nikt nie będzie się kąpał.

- Nabiorę ci, kochanie! - usłużnie zaproponował narzeczonej Mike.

- Daruj sobie! - syknęła ze złością i zgromiła go wzrokiem. - Chodźmy już lepiej napić się tego piwa. Nie przepadam wprawdzie za tym mało eleganckim napojem, ale mam nadzieję, że przynajmniej nikt nie moczył w nim nóg.

Na przyjęciu urodzinowym Jacka O'Connella wszyscy goście, od małych dzieci po rówieśników jubilata, bawili się doskonale.

Jedna chyba tylko Caroline Podger była wyraźnie zdegustowana. Narzekała - tyleż uparcie, co bezpodstawnie i złośliwie - na cienkie piwo, twarde ławy, osmalone nad ogniskiem befsztyki, jazgotliwą muzykę, staromodne tańce, prostackie towarzystwo.

W końcu stwierdziła, że ma migrenę i zażądała od Mike'a, by wrócił z nią do domu.

- Ależ, kochanie, dzieciaki tak dobrze się bawią! - zaprotestował dość nieśmiało.

- Wystarczy im tej zabawy na dzisiaj - zareplikowała nie dopuszczającym sprzeciwu tonem. - Jest późno. Dzieci już niedługo powinny szykować się do snu.

Mike, rad nierad, odszukał Laurę i Matta.

- Wujku, my nie chcemy jeszcze wracać! - zaprotestowali zgodnym duetem.

- Ale chyba będziecie musieli, bo jest już dość późno i pora szykować się do łóżek. - Mike bez szczególnego przekonania posłużył się argumentem podsunęty mu przed chwilą przez narzeczoną.

- I na dodatek głowa mi pęka od tego całego hałasu! - burknęła Caroline.

- Niech Laura i Matt zostaną - zaproponowała Erin, która przypadkiem znalazła się w pobliżu i usłyszała mimo woli całą wymianę zdań. - Zajmę się nimi - obiecała.

- A przed nocą Dan Johnson mógłby przecież tu wpaść i zabrać ich do domu.

- Hura!!! - wykrzyknęły uradowane bliźniaki.

- Podziękuj, Michael! - syknęła w tym samym momencie Caroline.

Mike wykazał się dyplomatycznym zmysłem. By nie zepsuć przedwczesnym powrotem do domu zabawy Laurze i Matthew, celowo zinterpretował słowa narzeczonej całkiem niezgodnie z jej intencjami.

- Bardzo ci dziękujemy, Erin, to wyjątkowo miłe z twojej strony, że się zaopiekujesz naszymi dziećmi, chociaż masz dzisiaj tyle roboty, jako gospodyni tego przyjęcia - powiedział. - Tego wspaniałego przyjęcia! - dodał z promiennym uśmiechem.

Przyjęcie skończyło się wraz z nadejściem nocy. Rozbawieni goście rozjechali się, na pożegnanie głośno wiwatując na cześć jubilata. Dan Johnson zabrał na farmę McTavishów Laurę i Matthew.

Erin namówiła dziadka, żeby poszedł do domu i położył się spać po pełnym niezwykłych wrażeń dniu. Natomiast sama została jeszcze trochę nad rzeką, żeby zrobić najpilniejsze porządki i zebrać do furgonetki wszystko, co nie było już potrzebne, z wyjątkiem ciężkich stołów i ław, i pozawieszanych na najwyższych gałęziach drzew baloników.

- Resztę posprzątam jutro - mruknęła, lustrując po raz ostatni teren pikniku.

Powróciwszy w środku nocy do domu, stwierdziła ze zdumieniem, że sędziwy jubilat, mimo niewątpliwego zmęczenia, wcale nie leży w łóżku, tylko siedzi na werandzie w swoim ulubionym bujanym fotelu.

- Co ty tu robisz, dziadku? Dlaczego jeszcze nie śpisz? - zaniepokoiła się.  
- Czy, nie daj Boże, źle się czujesz?

- Nie śpię właśnie dlatego, moja mała, że czuję się doskonale! - odparł z uśmiechem starszy pan. - Siedzę więc sobie, patrzę na gwiazdy i czekam na ciebie. Chciałbym ci podziękować za to cudowne przyjęcie, moja mała. Jestem po prostu zachwycony!

Erin bez słowa podeszła do dziadka, nachyliła się nad nim i wycałowała go w oba policzki.

- Naprawdę ci się podobało? - upewniła się.

- Oczywiście! Wiesz, jednego tylko żałuję. A właściwie dwóch rzeczy...

- Tak?

- Po pierwsze tego, że twoich rodziców nie było tutaj z nami.

- Wyślemy im dwugodzinną wideokasetę. Dan Johnson na moją prośbę nakręcił swoją kamerą film dokumentujący twoje urodzinowe przyjęcie.

- Jak to dobrze, moja mała, że pomyślałaś nawet o tym! - pochwalił wnuczkę starszy pan, po czym umilkł i głęboko się zamyślił.

- A czego żałujesz po drugie, dziadku? - zainteresowała się Erin.

- Nieważne! - mruknął Jack O'Connell i machnął lekceważąco ręką.

- Ejże, skoro się powiedziało „A”, to podobno trzeba też powiedzieć „B”!

- No, niech już będzie - westchnął starszy pan. - Więc, po drugie, niesamowicie żałuję, że taki wspaniały chłopak, jak Mike McTavish, dał się tak głupio omotać tej beznadziejnej damulce, Caroline Podger!

- Ja tego... też... trochę żałuję... - wykrztusiła Erin, z trudem hamując łzy.  
- A nawet bardzo!

- Wiem - stwierdził Jack O'Connell. - Tak to już w życiu bywa, moja mała, że nie zawsze wszystko układa się po naszej myśli, że ludzkie drogi, nawet drogi ludzi sobie najbliższych, rozchodzą się czasami bezpowrotnie. Jak choćby droga mojego syna i moja. Trzeba wszystko jakoś przetrzymać, moja mała, nie skupiać się zanedo na tym, czego nam żal. Wiesz, co ci powiem, dla odwrócenia uwagi? Wendy dzwoniła przed chwilą!

- Jaka Wendy?

- Jak to, jaka? Wendy Reynolds. Mistrzyni Australii w jeździectwie.

- Racja! Jak mogłam zapomnieć! - wykrzyknęła Erin i palnęła się dłonią w czoło. - Często spotykałyśmy się na międzynarodowych zawodach. Jak ona mnie tu znalazła?

- Coś słyszała, że przebywasz w tym dystrykcie stanu Wiktorii. Więc wzięła książkę telefoniczną i zaczęła wydzwaniać do wszystkich O'Connellów. Ja byłem dwudziestym czwartym z kolei!

- Nieźle! Ma dziewczyna cierpliwość. A czego ona właściwie chciała ode mnie?

- Chciała cię zaprosić do wzięcia udziału w lokalnych zawodach jeździeckich, które mają się odbyć dokładnie za tydzień, w sobotę.

- Jako zawodniczkę? - zdziwiła się Erin. - Ja przecież nie mogę, nie mając obywatelstwa, startować w krajowych imprezach.

- Ba, żeby to jeszcze w krajowych! - roześmiał się dziadek. - W prowincjonalnych, moja mała, w prowincjonalnych! Ale Wendy Reynolds wcale nie chce, żebyś rywalizowała z tutejszymi amatorami - wyjaśnił. - Prosi cię tylko o pokaz ujeżdżania przy muzyce, poza konkursem. Dla uatrakcyjnienia imprezy! Jako wicemistrzyni olimpijska byłabyś tam gwiazdą, moja mała, tak samo jak dzisiaj byłaś gwiazdą tu, jako gospodyni mojego przyjęcia, za które jeszcze raz stokrotnie ci dziękuję.

Jack O'Connell podniósł się z bujaka i mocno uściskał wnuczkę.



- Wystąpisz w tym pokazie? - spytał po chwili, znowu siadając w fotelu. - Wendy Reynolds prosiła, żebyś oddzwoniła do niej jutro.

- Oddzwonię na pewno, zaraz rano. Ale czy wystąpię w pokazie ujeżdżania? - Erin wzruszyła bezradnie ramionami. - Sama nie wiem.

- Zastanów się, moja mała, masz jeszcze czas do jutra rana. Ale ja myślę... wiesz... że zamiast zamartwiać się w samotności, zrobiłabyś znacznie lepiej, kręcąc się trochę między ludźmi, skoro jest okazja.

- Może.

- A wiesz ty co? - ożywił się Jack O'Connell. - Tam się powinna stawić w komplecie cała lokalna śmietanka towarzyska!

- Tak? - bez szczególnego entuzjazmu mruknęła Erin. - Więc cóż z tego, drogi dziadku?

- Więc to, droga wnuczko, że Mike McTavish też tam pewnie będzie, ze swoją Caroline. Mogłabyś pokazać tej damulce, co potrafisz, mogłabyś jej udowodnić, że poza francuską szkołą gotowania i wielkopańskimi pozami coś jeszcze liczy się w życiu i coś jeszcze robi wrażenie na ludziach!

- Zobaczę, dziadku, pomyślę... - mruknęła Erin, wciąż pełna wahań i wątpliwości.

- No, pomyśl, moja mała, pomyśl. A ja tymczasem pójdę już sobie spać. Dobranoc.

- Dobranoc, dziadku, dobranoc... - odpowiedziała Erin półgłosem i zajęła zwolnione przez starszego pana miejsce w bujanym fotelu.

Pokazać Caroline Podger, że jestem nie tylko amerykańską wnuczką ubogiego, wiekowego sąsiada jej przyszłego męża? Udowodnić jej, że potrafię nie tylko kosić siano i naprawiać płoty? Utrzeć jej trochę tego zadartego nosa? - zastanawiała się, spoglądając w gwiazdy. - Czemu nie! - doszła ostatecznie do wniosku.

- A nuż z tego wyniknie coś interesującego? - wyszeptała sama do siebie.

Następnego dnia, czyli w poniedziałek, Erin powiadomiła najpierw Paddy'ego, potem dziadka, a w następnej kolejności - przez telefon - Wendy Reynolds, że weźmie udział w sobotnim pokazie.

I od razu rozpoczęła treningi.

Paddy był koniem zbyt już wiekowym do udziału w terenowych rajdach, w których niegdyś celował, ale w popisach ujeżdżania, przy odtwarzanej z taśmy muzyce, radził sobie nadal doskonale.

Po pierwszej próbie - odbytej w absolutnej tajemnicy przed wszystkimi, nawet przed dziadkiem Jackiem - Erin była w zasadzie pewna, że czworonożny przyjaciel jej nie zawiedzie, o ile tylko jeszcze trochę poćwiczy.

Ćwiczyli więc, z coraz to lepszymi efektami, w poniedziałek, wtorek, środę, czwartek, piątek. Raz przed południem i raz po południu.

Natomiast cały sobotni poranek Erin poświęciła na toaletę Paddy'ego.

Idealnie wyczyszczony, lśniący, ze starannie zaplecioną grzywą, prezentował się doskonale.

- Prawdziwy z niego czarny diament, moja mała! - ocenił z podziwem Jack O'Connell.

- Fakt - potwierdziła Erin, spoglądając z dumą i czułością na swego eleganckiego karego wierzchowca. - Jeśli tutejsza towarzyska śmietanka tego nie doceni, zjem swoją dżokejkę!

- Wtedy i ja spałaszuję swój kapelusz! - solidarnie przyobiecał dziadek. - Ale spodziewam się, że nie będzie takiej potrzeby.

Ledwie Erin i Jack O'Connellowie dotarli z Paddym sfatygowaną furgonetką z przyczepą na miejsce zawodów, natknęli się... na Laurę i Matta.

Zaskoczone niespodziewanym spotkaniem dzieciaki najpierw stanęły na chwilę jak wryte w pewnej odległości, ale zaraz potem podbiegły bliżej i zaczęły jedno przez drugie wypytywać:

- Co tu robicie?

- Dlaczego przywieźliście Paddy'ego?

- Czy to Erin będzie na nim jeździć?

- A może dziadek Jack?

Starszy pan roześmiał się filuternie, kiedy usłyszał to ostatnie pytanie, zadane przez Matta.

Po czym zrobił niesamowicie poważną minę i powiedział enigmatycznie:

- Może ja, a może Erin. Jeszcze zobaczymy.

- Ale my byśmy chcieli wiedzieć już! - nie dawał za wygraną Matthew.

- No, bo my jesteśmy strasznie tego ciekawi! - dodała gwoli wyjaśnienia Laura.

- A wiecie, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła? - zażartował sobie z bliźniaków Jack O'Connell.

Zapadła cisza.

W tym momencie gdzieś na horyzoncie pojawili się Mike McTavish i Caroline Podger.

- Wujku, ciociu, tu jesteśmy! - wykrzyknęła Laura, która ich pierwsza spostrzegła.

- I Erin też tu jest! - dodał Matt. - I Paddy! I dziadek O'Connell.

Mike i Caroline podeszli bliżej.

On był ubrany w zwykłe dżinsy i sportową koszulkę z beżowego lnu. Natomiast ona...

Ona miała na sobie kompletny kostium amazonki, czyli czarny zakiecik o frakowym kroju, ze śnieżnobiałą bluzką i fantazyjnie zawiązanym krawatem, czapkę-dżokejkę, białe bryczesy i czarne buty do konnej jazdy, z długimi, połyskującymi w słońcu cholewami. W wypięęgnowanej dłoni trzymała szpicrutę.

- Co tu robicie? - odezwał się Mike. - Czy Erin weźmie udział w zawodach?

- Ależ nie, skądże znowu! - odpowiedział za wnuczkę Jack O'Connell. - Ale panna Podger chyba tak, prawda? Sądząc po sportowym stroju i tym groźnym narzędziu.

Caroline zmierzyła pokpiwającego siebie z niej starszego pana jadowitym spojrzeniem i syknęła:

- Ma pan pełne prawo o tym nie wiedzieć, panie O'Connell, ale nasz elitarny klub jeździecki wymaga od zawodników odpowiedniej prezencji. Więc gdyby Erin chciała wziąć udział w dzisiejszych zawodach, musiałaby sobie chyba coś pożyczyć.

Erin, ubrana w codzienne dżinsy i kraciastą koszulową bluzkę z krótkimi rękawami, stwierdziła dobitnie:

- Nie zamierzam brać udziału w zawodach, przecież dziadek już to wyraźnie powiedział!

- To po co przywieźliście konia?

- Wzięliśmy go, żeby się trochę przewietrzył.

- Nie rozumiem. Ech, zresztą nieważne! - mruknęła Caroline i lekceważąco machnęła ręką. - Za dziesięć minut mam występ przed sędziami, szkoda mi czasu na grę w kotka i myszkę. Na razie!

Obróciła się na pięcie i dumnym krokiem pomaszerowała w kierunku maneżu, na którym miały się odbywać konkursowe pokazy.

- No, to chodźmy popatrzeć, jak ciocia będzie jeździć - odezwał się Mike do bliźniaków.

- A Erin też pójdzie z nami, wujku? - zapytał Matt.

- Cóż... - westchnął wujek i trochę bezradnie wzruszył ramionami. - Pójdiesz z nami, Erin?

- Chodź, mamy miejsca w łoży! - wtrąciła Laura.

- Nie pójdę z wami, bo w tej chwili nie mogę - odpowiedziała Erin zdecydowanym tonem. - Ale wypożyczę wam dziadka.

- Hura!!! - ucieszyły się bliźniaki.

- Będzie nam bardzo miło - skwapliwie zapewnił starszego pana Mike McTavish.

Jack O'Connell pokiwał głową, uśmiechnął się sceptycznie i rzekł:

- Zamienił stryjek siekierkę na kijek, prawda?

Erin nie obserwowała zawodów.

Podejmowana gościnnie i z atencją przez organizatorów, spędziła blisko dwie godziny w klubowym pawilonie, gawędząc przy herbatce i ciasteczkach z Wendy Reynolds.

W końcu przebrała się w toalecie w jeździecki strój, który przywiozła ze sobą w specjalnym neseserku i udała się do Paddy'ego, żeby przygotować go do występu.

Koń sprawiał wrażenie odprężonego i wielce uradowanego perspektywą zaprezentowania się publiczności.

Erin osiodłała go i wyszeptała mu prosto w ucho prośbę o odpowiednie zachowanie podczas pokazu. Następnie odbyła krótką rozgrzewkę na zapleczu maneżu i w oczekiwaniu na sygnał do rozpoczęcia pokazu zajęła pozycję wyjściową przy bramie wjazdowej.

Po chwili usłyszała, wzmocnione przez potężne nagłośnienie, słowa spikera:

- A teraz, panie i panowie, główna atrakcja dzisiejszego spotkania jeźdźców i miłośników jeździectwa z naszego dystryktu! Poza konkursem - po raz pierwszy w Australii - na wspaniałym karym koniu imieniem Czarny Diament pokaz ujeżdżania zaprezentuje srebrna medalistka igrzysk olimpijskich i finalistka pucharu świata - panna Erin O'Connell ze Stanów Zjednoczonych!!!

Czarny Diament, na co dzień zwany dla uproszczenia Paddy, zastrzygł uszami i zaczął leciutko wyrywać się do przodu.

Erin pozwoliła swemu wierzchowcowi na kilka drobnych kroczków, dla zniwelowania napięcia, po czym szepnęła mu coś tam jeszcze do ucha i skierowała go prosto na maneż.

Najpierw złożyła stosowny ukłon przed zgromadzoną w łóżach i na trybunach publicznością. A zaraz potem, przy pierwszych dźwiękach dobiegającej z głośników muzyki, rozpoczęła pokaz jeździeckiego kunsztu.

Szło jej dobrze, bardzo dobrze.

Tak dobrze, że gdyby występ miał miejsce na igrzyskach olimpijskich, a nie na prowincjonalnych australijskich zawodach dla amatorów, przyniósłby jej z całą pewnością złoty medal.

Erin O'Connell po prostu przeszła samą siebie!

Również jej ukochany, wspaniały, wyjątkowy, cudowny koń Paddy - Czarny Diament - przeszedł samego siebie!

Oboje - w idealnej harmonii, idealnym zrozumieniu, zespoleniu - osiągnęli prawdziwy szczyt doskonałości!

Publiczność, w pierwszych sekundach występu, jak to zwykle bywa, troszeczkę rozgadana, zajęta komentowaniem wyglądu konia i prezencji amazonki, bardzo szybko całkowicie ucichła.

W absolutnym milczeniu, z zapartym tchem, kontemplowano popis Erin i Paddy'ego. Widzowie zdawali sobie sprawę, że oglądają coś wyjątkowego, że czegoś podobnego być może nie zobaczą już po raz drugi w życiu.

Nikt się nie kręcił, nikt się nie odzywał. Słyszałoby tylko muzykę i lekki stukot końskich kopyt o podłoże.

Erin również milczała, ponieważ nie musiała wydawać Paddy'emu żadnych poleceń. Rozumieli się bez słów, podświadomie, instynktownie.

Zakończywszy program przepisowym ukłonem, rudowłosa amazonka zjechała z maneżu na zaplecze. I wtedy dopiero na trybunach rozległy się frenetyczne brawa!

To było istne szaleństwo.

Widzowie zrywali się z miejsc, klaskali i krzyczeli na stojąco. A ci najbardziej rozentuzjasmowani po prostu opuszczali trybuny i pędzili na zaplecze maneżu, żeby tam, w bezpośredniej bliskości bezkonkurencyjnej ama-

zonki i jej niezwykłego wierzchowca, dać wyraz swojemu głośnemu zachwytowi.

Biedny Paddy zaczął się w pewnym momencie niebezpiecznie płoszyć. Na szczęście tuż obok Erin znalazł się jej rozpromieniony i dumny dziadek Jack O'Connell, który odebrał od niej konia i odprowadził go na ubocze, w bezpieczne miejsce.

Tuż obok Erin znaleźli się również Matthew i Laura. I Mike McTavish!

Ujął ją za rękę, spojrzał jej w oczy i wypowiedział tylko jedno jedyne słowo, jej imię:

- Erin!

Nic więcej powiedzieć nie zdołał, ponieważ nadmiar emocji zupełnie odebrał mu głos.

Nie odebrał go, niestety, Caroline Podger.

Ledwie wparadowała na zaplecze maneżu, od razu wrzasnęła skrzekliwie:

- Michael!

Erin instynktownie wyrwała swoją dłoń z dłoni Mike'a McTavisha. Za późno.

Caroline musiała widzieć uścisk ich rąk. I musiała zdać sobie sprawę, że nie był on zwykłym, zdawkowym uściskiem, jaki wymienia się przy składaniu gratulacji.

Musiała uświadomić sobie, że był on gestem wyrażającym coś szczególnego, coś niezwykłego, coś intymnego.

Prawdziwe uczucie.

Prawdziwą miłość!

Dosłownie gotując się z bezsilnej złości, Caroline Podger przepchnęła się przez tłum, stanęła naprzeciwko Erin i rzuciła jej prosto w twarz:

- Ty przybłądo!

A potem, nim ktokolwiek zdołał się zorientować w jej zamiarach, uniosła w górę rękę ze szpicrutą i zamachnęła się na Erin.

Mike McTavish zareagował błyskawicznie, ale przed pierwszym, zadany z zaskoczenia ciosem nie zdołał już niestety Erin obronić. Szpicruta dosięgnęła jej policzka, kreśląc na nim bolesną krwawą szramę.

Tłum najpierw jęknął, a zaraz potem wydał z siebie groźny pomruk.

Mike obezwładnił krewką narzeczoną i pośpiesznie dokądś ją wyprowadził, obawiając się, by rozsierzeni miłośnicy jeździeckiego kunsztu Erin nie zechcieli przypadkiem wymierzyć sprawiedliwości i wygarbować Caroline skóry jej własną szpicrutą.

Natomiast zbulwersowani i przejęci organizatorzy zawodów zaprowadzili Erin do budynku klubowego i niemal natychmiast znaleźli wśród widzów lekarza.

Doktor, nobliwy starszy pan, fachowo opatrzył zranienie, zapewniając Erin setki razy, że jest płytkie i nie wymaga szycia.

- Zagoi się bez śladu, moje dziecko - powtarzał. - Do wesela z pewnością się zagoi!

Do wesela! Tylko do czyjego? Czyżby już do wesela Mike'a McTavisha i Caroline Podger? - zastanawiała się Erin z posepną miną.

Jednak nie zapytała o to sympatycznego doktora.



## *ROZDZIAŁ DZIESIĄTY*

- Osobiście porachowałbym kości tej wiedźmie Caroline, gdybym tylko był w pobliżu, kiedy ona podniosła na ciebie rękę, moja mała! A niechby jej ta ręka uschła! - złorzeczył w drodze powrotnej do domu zirytowany nie na żarty Jack O'Connell.

- Och, nie bądź taki zawzięty, dziadku - mitygowała go Erin, która zdołała już nieco ochłonąć i spojrzeć na całą sprawę z pewnego dystansu. - Caroline Podger dopuściła się karygodnego wybryku, to prawda, ale ja też ją trochę sprowokowałam.

- Bez przesady, moja mała - obruszył się starszy pan. - Nie próbuj brać jej winy na siebie. Jak już się tak strasznie wściekła, to mogła dołożyć kilka wyzwisk. Ale żeby zaraz brać się do bicia! Ech, gdybym tylko ja był tam w pobliżu, to od razu bym ją tak uspokoił...

- Ale, niestety, byłeś gdzie indziej, dziadku - odezwała się Erin z łagodnym uśmiechem. - Albo na szczęście, bo jeszcze i ty byś oberwał! A Mike McTavish jakoś tam sobie poradził z uspokojeniem narzeczonej.

- Poradził sobie, powiadasz? Na razie... Jak tylko się z nią ożeni, jak tylko Caroline obrośnie mocniej w piórka, to już tak go przeciwiczy, że będzie jej z ręki jadł i jeszcze służył na zawołanie na dwóch łapkach.

- Coś ty, dziadku! Mike, taki silny mężczyzna?

- Może i silny, ale też głupi, moja mała!

- Raczej zdezorientowany, zagubiony.

- Mhm... - westchnął starszy pan. - Jak już koniecznie chcesz go bronić, to niech ci będzie.

- Ależ ja go wcale nie bronię, dziadku - zachnęła się Erin. - Nie mam najmniejszego zamiaru go bronić. I w ogóle nie chcę o nim słyszeć!

Wbrew temu kategorycznemu stwierdzeniu, po powrocie do domu Erin podświadomie czekała na jakąś wiadomość od Mike'a McTavisha.

Na przykład na telefoniczne przeprosiny. Albo chociaż na pytanie o stan jej skaleczonego policzka.

Telefon jednak milczał. Przez całe popołudnie. I przez cały wieczór.

Odezwał się dopiero, kiedy dziadek już spał, zmęczony dniem pełnym zarówno miłych, jak i nieprzyjemnych wrażeń. Erin, dawno po kolacji, siedziała na werandzie w bujanym fotelu i starała się uspokoić skołataną nerwy, spoglądając w gwiazdy.

Zerknęła na zegarek. Była już jedenasta. Z niepokojem podniosła słuchawkę.

Odezwał się Mike McTavish. Nie czyniąc żadnych wstępów, schrypniętym ze zdenerwowania głosem zapytał:

- Erin, czy bliźniaki są u ciebie?

- Nie - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- Boże, w takim razie znowu uciekły, bo u mnie też ich nie ma! - jęknął Mike.

- Ale jak to się stało, Mike? Opowiedz mi wszystko po kolei.

- Prosto z tych nieszczęsnych zawodów jeździeckich pojechaliśmy na farmę Podgerów. Zostawiliśmy tam Caroline i jej konia i zaraz wróciliśmy do domu. Po południu dzieciaki normalnie się bawiły, wieczorem zjadły kolację. O ósmej poszły spać, a ja pojechałem do Caroline. Kiedy wróciłem, jakieś trzy kwadransy temu, nie znalazłem Laury i Matthew w łóżkach. Nie znalazłem ich nigdzie, chociaż przeszukałem dokładnie cały dom i wszystkie budynki gospodarcze. Oni uciekli, Erin! Znowu uciekli!

- A wzięli ze sobą tę wielką torbę?

- Tym razem nie.

- Więc może nie wybrali się aż tak daleko, jak wtedy?

- Może nie. Ale tak czy inaczej, sprawdzimy drogę. Dan Johnson już przed chwilą pojechał na północ, ja zaraz pojedę na południe.

- A ja? Co mogę dla ciebie zrobić, Mike? Jak mogę ci pomóc?

- A dobrze się już czujesz?

- Tak.

- Więc sprawdź, z łaski swojej, brzeg rzeki, to miejsce, gdzie urządziłaś dziadkowi piknik.

- Racja! Koniecznie trzeba tam zajrzeć. Już jadę, będę z tobą w kontakcie.

- Dzięki, Erin. Wielkie dzięki! Mike McTavish odłożył słuchawkę.

Erin wybiegła z domu, wskoczyła w swoją furgonetkę i pojechała prosto nad rzekę.

Nikogo jednak tam nie zastała.

Boże, a jeśli dzieciaki się potopiły? - pomyślała ze zgrozą.

Zaraz jednak zreflektowała się.

Żeby się potopić, musiałyby znaleźć się w wodzie - zaczęła dedukować. - A żeby znaleźć się w wodzie, musiałyby do niej wejść. Coś takiego mogłoby się zdarzyć w środku dnia, kiedy jest słonecznie i ciepło. Ale wieczorem? Nawet najbardziej rozbrykane sześciolatki nie miałyby ochoty na kąpiel po zmroku, kiedy woda w rzece jest zimna, a po wyjściu z niej nie sposób się ogrzać. Nocą Laura i Matt powinni szukać raczej jakiegoś ciepłego, przytulnego kąta do spania, a nie ochłody!

- Zaraz, zaraz... - mruknęła Erin sama do siebie. Jak to powiedział Matthew po sianokosach? - zaczęła sobie gorączkowo przypominać. „Ładnie jest w tej stodole, można by tu nawet zamieszkać”.

- Stodoła! - wykrzyknęła. - Trzeba koniecznie sprawdzić stodołę!

Znowu wskoczyła w furgonetkę.

Podjechała pod usytuowaną niedaleko od domu stodołę, wypełnioną aż po krawki sianem. Z latarką w ręku weszła do środka.

Spenetrowała lewy sąsiedztwo, lecz natknęła się w nim wyłącznie na domową kocicę dziadka Jacka, która urządziła tam przytulną sypialnię dla siebie i dla mających niebawem przyjść na świat kociąt.

Zaczęła penetrować prawy sąsiedztwo.

- Boże, są tutaj, cali i zdrowi! - szepnęła, ujrawszy w świetle latarki dwie drobne sylwetki smacznie śpiących sobie na sianie dzieciaków.

W pierwszym odruchu Erin próbowała obudzić Laurę i Matta, ale spali tak mocno, że nic z tego nie wyszło.

Pobiegła więc do domu, wzięła dwa koce i dwie poduszki. Jeden koc rozścieliła na sianie i delikatnie ułożyła na nim dzieciaki, wtykając każdemu poduszkę pod jasnowłosą głowinę. Drugim starannie je okryła.

I znów pobiegła do domu, tym razem po to, żeby zadzwonić do Mike'a McTavisha.

Mike przyjechał niebawem.

Erin zaprowadziła go do stodoły i pokazała mu śpiące dzieciaki.

- Skąd ci przyszło do głowy, żeby ich tutaj szukać? - spytał półgłosem.

- Pomyślałam, że będą szukać bezpiecznego miejsca, poza zasięgiem Caroline i jej szpicruty - mruknęła Erin.

Mike nic nie powiedział. Milczał. Przez minutę, dwie trzy...

W końcu szepnął:

- Dziękuję ci, Erin! Ogromnie ci dziękuję za odnalezienie tych moich nieznośnych dzieciaków. Zaraz je stąd zabiorę do domu.

- Nie trzeba, Mike - sprzeciwiła się. - Niech śpią sobie spokojnie do rana. Jak je teraz na siłę obudzisz, tylko niepotrzebnie się przestraszą. Niech śpią do rana, skoro już im zrobiłam porządne posłanie. Ja ich tu popilnuję.

- To ja też! Popilnuję ich razem z tobą.

- Nie trzeba, Mike - powtórzyła Erin, kręcąc głową. - Wracaj do domu i przyjedź po dzieci rano.

- Zostanę z tobą!

- Nie!

- Dlaczego nie chcesz, Erin? Jeśli tylko dlatego, że jestem zaręczony z Caroline, to muszę ci powiedzieć, że właśnie te zaręczyny zerwałem. Dziś wieczorem.

- Zerwałeś zaręczyny? Chyba nie z powodu tego pożałowania godnego incydentu.

- Nie. Zerwałem je, ponieważ doszedłem do wniosku, że my z Caroline wcale do siebie nie pasujemy. I nie kochamy się ani trochę. Ani ona mnie nie kocha, ani ja jej. Bo ja kocham ciebie, Erin! Tylko ciebie!

Mike ujął Erin za rękę.

Wyrwała mu ją odruchowo. Czując, że z wrażenia kompletnie traci władzę w nogach, przysiadła na sianie.

Usiadł tuż obok niej i objął ją lekko ramieniem.

Tym razem nie próbowała już się wyrwać, nie próbowała się odsuwać, nie próbowała uciekać. Nie miała na to dość siły. Czowała, że z emocji serce podchodzi jej do gardła, nogi i ręce silnie drżą, a cały świat w zawrotnym tempie wiruje przed oczyma.

Siedziała bez ruchu, w milczeniu słuchając wyznań Mike'a McTavisha:

- Ja zakochałem się w tobie... chyba zaraz po twoim przyjeździe, Erin... zaraz po naszym pierwszym spotkaniu - mówił. - Ale nie miałem pojęcia, co zrobić z tą miłością. Czy ci ją wyznać? Czy może ukryć ją przed tobą w imię wcześniejszych zobowiązań? Wahałem się. Z Caroline było mi pod wieloma względami wygodnie, może więc bałem się utraty tych wygod, które ona mi gwarantowała? Tego porządku, ładu, rygoru, który wprowadziła do mojego kawalerskiego domu? Nie wiem. Wiem tylko, że nie miałem pojęcia, co z tym wszystkim zrobić. Dlatego pozwoliłem swoim sprawom toczyć się wcześniej zaplanowanym torem. Aż do dnia dzisiejszego. Do dnia, w którym Caroline zdemaskowała się, i to przy wielu świadkach. Do dnia, w którym ukazała swoje prawdziwe, okrutne i podstępne oblicze. Dziś zrozumiałem, jaka naprawdę jest

ta kobieta. Dziś zrozumiałem, że wbrew deklaracjom, nigdy nie byłaby dobrą żoną i nigdy nie zastąpiłaby matki bliźniakom. Ona nadaje się najwyżej do roli domowego żandarma, a w moim domu żaden żandarm nie jest potrzebny! Jest potrzebny ktoś całkiem inny, ktoś serdeczny, czuły, życzliwy, przyjazny, wyrozumiały, dobry. Ty!

- Czy... to... znaczy... - wykrztusiła przez zaciśnięte ze wzruszenia gardło.

- Tak! - wykrzyknął Mike, nie czekając, aż usłyszy całe pytanie. - To znaczy, że proszę cię o rękę, Erin O'Connell! Proszę cię, żebyś została moją żoną!

- Ale ja... nie umiem... gotować.

- Nieważne.

- I wykapałam dzieciaki w ubraniach.

- To nic.

- I dla zatarcia śladów przestępstwa rzuciłam psom na pożarcie twój urodzinowy tort, kiedy Laura i Matthew niechcący go uszkodzili.

- Głupstwo! Ale kochasz mnie, prawda?

- Tak, kocham cię, Mike! Już od tamtej potańcówki, od czternastego roku życia.

- I zgadzasz się.

- Tak!

Mike nie czekał już na nic więcej. Wziął Erin w ramiona, zaczął ją tulić, całować, pieścić. Coraz namiętniej, coraz mocniej, coraz goręcej.

Spędzili w stodole całą noc. Obudzili się o świcie, lekko zmarznięci, ale mocno do siebie przytuleni i bardzo, bardzo szczęśliwi.

Niedługo potem obudziły się dzieciaki.

Było im trochę szkoda opuszczać wspianą kryjówkę, niemniej jednak - po złożeniu przez wujka uroczystego zapewnienia, że „ciocia Caroline” na pewno nie zbije ich batem i że w ogóle już nigdy więcej nie będzie się nimi zajmowała - pozwoliły się zabrać do domu.

- Wkrótce się do ciebie odezwę, najdroższa - szepnął na pożegnanie Mike McTavish, całując Erin w policzek. - Jeszcze tylko uporządkuję kilka ostatnich spraw.

Wbrew zapowiedzi, Mike McTavish nie odezwał się przez dwa kolejne dni. Nie przysłał też dzieciaków na lekcje konnej jazdy.

Erin czekała z coraz większym zniecierpliwieniem i zaniepokojeniem, aż w końcu, trzeciego dnia, sama zdecydowała się zadzwonić na farmę McTavishów.

Telefon odebrał Dan Johnson.

- Mike i dzieciaki są bardzo zajęci - wyjaśnił enigmatycznie. - Odezwą się, jak tylko wygospodarują wolną chwilkę.

Żarty sobie robią ze mnie, czy co? - obruszyła się w duchu Erin. Cóż takiego mogą wyprawiać, że nie mają czasu nawet na krótki telefon? Jak nie zadzwonią dzisiaj do wieczora, to chyba tam do nich pojedę i wygarnę im wprost, co o tym wszystkim myślę!

Nie zadzwonili wprawdzie, ale przysłali list, zaadresowany mozolnie wykaligrafowanymi niewprawną ręką kulfonami.

- To pewnie Laura pisała albo Matt - stwierdziła Erin, pokazując dziadkowi kopertę.

- No, mam nadzieję, że nie Mike McTavish - mruknął starszy pan. - A o czym piszą, wolno wiedzieć?

- O czym oni tu piszą... - powtórzyła machinalnie Erin, otwierając list i zapoznając się pośpiesznie z jego niezbyt rozbudowanym tekstem. - Cóż, zapraszają mnie do siebie na kolację dziś wieczorem, na szóstą.

- Caroline też będzie? - zapytał Jack O'Connell i puścił w kierunku wnuczki perskie oko.

- Nie, dziadku - odpowiedziała Erin i z powagą pokręciła głową. - Z tego, co mi wiadomo, Caroline Podger przestała ostatnio bywać na farmie McTavishów. Z jej ślubu z Mike'em też chyba będą nici.

- No i chwała Bogu! - westchnął z ogromną ulgą starszy pan.

Erin uczesała się, włożyła nieśmiertelną zieloną sukienkę, wskoczyła do furgonetki i udała się na proszoną kolację.

Do drzwi wejściowych rezydencji McTavishów zadzwoniła dokładnie o godzinie szóstej minut trzy. Otworzył jej Matthew.

Miał niesłychanie namaszczoną minę i był wystrojony w czarne buty, czarne, zaprasowane w kant spodnie i białą koszulę z zawiązanym pod szyją motylkiem, sądząc po wielkości - zapewne pożyczonym od wujka.

- Dobry wieczór. Proszę za mną do salonu - powitał Erin uroczyście i oficjalnie.

Tłumiąc śmiech, ruszyła za malcem.

Przeszli przez rozległy hall i wkroczyli do reprezentacyjnego pomieszczenia na parterze, gdzie już czekali na nich Laura i Mike.

Laura miała na sobie nienagannie odprasowaną świąteczną sukienkę z mnóstwem falbanek, a Mike McTavish - autentyczny smoking.

- Boże! - westchnęła Erin. - Jacy wy wszyscy jesteście dzisiaj elegancy!

- To na cześć naszego miłego gościa - wyrecytowała z przejęciem Laura.

- Najmilszego na świecie! - dodał Mike.

Onieśmielona Erin spuściła oczy i lekko się zarumieniła. Na chwilę zapadła dość kłopotliwa cisza, ale na szczęście Matt przerwał ją, oznajmiając z przejęciem:

- A teraz prosimy do stołu!

Kolacja, którą Mike i dzieciaki podawali osobiście, bez czyjejkolwiek pomocy, składała się z przystawki, zupy, głównego dania i deseru. Erin jadła z apetytem i szczerze wszystko chwaliła.

- A teraz chodźmy zajrzeć do kuchni - zaproponowała Laura po skończonym posiłku.

W kuchni panował nieskazitelny porządek. Poza zastawą stołową, wykorzystaną podczas kolacji, wszystko aż lśniło czystością.



- Boże! - westchnęła z podziwem Erin, rozglądając się po kątach.

- Zapraszamy jeszcze do nas na górę - odezwał się Matt.

Całe czteroosobowe towarzystwo wspięło się po schodach na drugie piętro. Bliźniaki z dumą zaprezentowały Erin swój idealnie wysprzątnany pokój, wraz z toaletą i łazienką.

- Pięknie! - pochwaliła. - Ale właściwie po co mi to wszystko pokazujecie?

- Żebyś zgodziła się wyjść za nas za męż! - palnął Matthew.

- Za was? To znaczy, za kogo?

- No, za wujka, za mnie i za Laure. Wujek powiedział, że jak nie będziemy dbali o porządek, to pewnie się nie zgodzisz, a my byśmy bardzo chcieli, żebyś się zgodziła, więc...

- Więc dlatego przez całe trzy dni robiliśmy porządki! - weszła bratu w słowo Laura. - Pastowaliśmy i froterowaliśmy podłogi, odkurzaliśmy dywany i meble, szorowaliśmy wannę i kafelki w łazience. Żeby wszystko lśniło! I uczyliśmy się gotować z książki kucharskiej, razem z wujkiem.

- Naprawdę?

- Tak, Erin - potwierdził milczący dotąd Mike. - Specjalnie, żeby cię zachęcić do wyjścia za męż za kawalera z dwójką dzieci, wysprzątnaliśmy dom, zrobiliśmy wielkie pranie i prasowanie, przeciwczyliśmy się w kucharzeniu. I jeszcze przygotowaliśmy małą niespodziankę. O, proszę!

Mike wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki jakieś dokumenty i podał je Erin.

- Cóż to takiego? - zapytała.

- Sama zobacz.

- Czyżby to były bilety lotnicze do Stanów?! - wykrzyknęła zdziwiona.

- Jak najbardziej - potwierdził Mike. - Do Pittsburgha. Polecimy tam w podróż poślubną, żeby poznać twoich rodziców i pozostałą amerykańską rodzinę.

- Ale dlaczego tych biletów jest aż pięć? - Zdziwienie Erin stało się permanentne.

- Bo polecimy do Stanów Zjednoczonych wszyscy. My dwoje... - zaczął wyliczać Mike.

- No i my dwoje, ja z bratem! - dodała Laura.

- A kto piąty?

- Dziadek Jack! - wykrzyknął entuzjastycznym tonem Matthew.

- Boże, ale wyprawa! - westchnęła Erin. - Moi rodzice będą nieźle zaskoczeni!

- Nie aż tak bardzo, bo już o wszystkim wiedzą - mruknął Mike.

- Od kogo?

- Od nas! - odpowiedziała Laura. - Dzwoniliśmy do nich do Pittsburgha.

- A kto wam podał numer telefonu?

- Dziadek Jack! - wyjaśnił Matthew.

- To dziadek już o wszystkim wie?

- No, tak z grubsza - odezwał się Mike. - Terminu naszego ślubu na przykład jeszcze nie zna.

- A kto go zna?

- Na razie nikt, bo o ile sobie dobrze przypominam, nie zdążyliśmy jeszcze go ustalić.

- To błąd! - stwierdziła ze śmiechem Erin.

- Jasne! - Mike podchwycił jej żartobliwy ton. - Musimy go naprawić jak najprędzej.

- Najlepiej od razu! - wtrąciła się Laura. - I ustalcie jakiś szybki termin, bo nam się strasznie śpieszy do Disneylandu!

- Do Disneylandu?

- Właśnie! - potwierdził z powagą Matt.

- Twoja mama obiecała, że zabierze tam dzieciaki, żebyśmy chociaż część miodowego miesiąca mogli spędzić tylko we dwoje - wyjaśnił Mike.

- A dziadek?

- Dziadkiem zajmie się twój ojciec. Na pewno będą mieli sobie dużo do opowiedzenia po tylu latach rozłąki.

- Boże, na pewno! - westchnęła Erin.

Po czym, ni stąd, ni zowąd... rozplakała się rzewnymi łzami.

- Najdroższa, co się stało? - zaniepokoił się Mike.

- Może z naszą kolacją coś było... hm... nie tak? - zapytała Laura.

- A może ten Disneyland... albo cała trasa podróży poślubnej... ci nie odpowiada? - dodał z dorosłą zupełnie powagą Matthew.

- Nie, nie! - zaprzeczyła energicznie Erin. - Płaczę z wrażenia. I ze szczęścia! Tyle moich marzeń spełniło się równocześnie. Mężczyzna, którego kocham od dziesięciu lat, poprosił mnie o rękę. I od razu wniósł mi w posagu dwójkę wspaniałych dzieciaków! I jeszcze chce zorganizować mojemu dziadkowi i mojemu ojcu spotkanie, na które oni obydwaj czekali przez dwadzieścia lat!

- Erin - odezwał się z namaszczeniem Matthew. - Czy to znaczy, że ostatecznie decydujesz się wyjść za nas za mąż?

- Oczywiście! - potwierdziła Erin, płynnie przechodząc od płaczu do śmiechu.

- Za nas wszystkich? - upewniła się Laura.

- Jasne!

- Łącznie ze mną? - dorzucił do kompletu swoje pytanie Mike McTavish.

- Tak!

Po tym ostatnim słowie, Mike nie pytał już o nic więcej, tylko wziął Erin w ramiona. Natomiast uradowane bliźniaki złapały się za ręce i zaczęły tańcować po pokoju „w drobną kaszkę”, wykrzykując przy okazji wniebogłosy:

- Dis-ney-land! Dis-ney-land!! Dis-ney-land!!!